

Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.



ANTONI PAWLAK

**KSIĄŻECZKA
WOJSKOWA**

O POŻYTKACH PŁYNĄCYCH Z PRZEBYWANIA W MIEJSCACH ZAMKNIĘTYCH

Gdy wiosną 1976 szedłem do wojska, wiedziałem jedno – albo mnie tam wykończą, albo to wszystko opiszę. Nie wykończyli.

Ludowe Wojsko Polskie było wówczas, w latach siedemdziesiątych, tematem tabu. W literaturze właściwie nie istniało. Oczywiście, jeśli nie liczyć propagandowych powieściidel wydawanych w masowych nakładach przez Wydawnictwo MON.

Więc napisałem i – jak się okazało – wstrzelilem się. Byłem pierwszy, który po wojnie opisał wojsko inaczej. Myślę, że prawdziwie.

Dziś nie mam większych złudzeń. Doskonale wiem, że „Książeczka wojskowa” nie jest wielkim dziełem literackim. Jest swego rodzaju dokumentem. Dokumentem o bardzo ciekawych, jak sądzę, losach.

Po pierwsze – niezależny kwartalnik literacki „Zapis” kupił ode mnie tekst w ciemno. A rzecz taka młodemu literatowi (miałem wówczas 26 lat) zdarza się, raczej rzadko.

Po drugie – dwa pełne nakłady tego numeru „Zapisu” w całości skonfiskowała Służba Bezpieczeństwa. Pozwala mi to do dziś żywić nadzieję, że właśnie mój tekst był tak ważny.

Po trzecie – „Książeczka wojskowa” w wielu jednostkach wojskowych stała się obowiązkową lekturą szkoleniową dla oficerów. Nigdy nie myślałem, że stanę się kimś w rodzaju autora podręcznika.

Po czwarte – w drugiej połowie grudnia 1981 roku w więzieniu w Białolece jeden ubek powiedział mi, że właśnie „Książeczka...” była głównym powodem mojego internowania.

I w ten sposób dochodzimy do „Książki skarg i wniosków” – tekstu, w którym staram się opisać obozy internowanych.

Od grudnia 1981 do lipca 1982 byłem internowany w Białolece, Jaworzu i Darłównu. Udało mi się siedzieć z wieloma ludźmi, którzy dziś (piszę to na początku grudnia 1990 r.) tak dużo znaczą. Żeby się pochwalić, niektórych wymienię:

z rządu – Tadeusz Mazowiecki, Waldemar Kuczyński, Jan Lityński, Bronisław Komorowski, Stefan Kawalec...

z ambasadorów – Władysław Bartoszewski, Krzysztof Śliwiński...

z Sejmu i Senatu – Bronisław Geremek, Andrzej Szczypiorski, Adam Michnik, Aleksander Małachowski, Gabriel Janowski, Andrzej Celiński, Stefan Niesiołowski...

z telewizji — Andrzej Drawicz, Jan Dworak...

I jeszcze wielu polityków, działaczy, artystów, wydawców, dziennikarzy i naukowców.

Jak widać jestem – dość dobrze ustawiony. Czego wszystkim serdecznie życzę.

Antoni Pawlak

„Wróćcie do cywila i skombinujecie tak wszystko, że zrobicie ze mnie dupę i skurwysyna, a z siebie inteligenta i pacyfistę, który jest ponad szarym życiem pułkowym”.
Zbigniew Uniłowski „Dzień rekruta”

I

Gdy dowiedziałem się, że mam iść do wojska, robiłem wszystko, aby to nie doszło do skutku. Pomagało mi w tym wielu ludzi, co doprowadziło do pewnego zamieszania. W końcu wezwał mnie komendant sztabu dzielnicowego. Usiedliśmy w jego gabinecie.

– Naprawdę nie mogę zrozumieć, dlaczego z takim uporem stara się pan uniknąć służby wojskowej. Przecież jest to pańskim obowiązkiem. Zresztą te wszystkie legendy, że w wojsku nie ma możliwości ani czasu, to wierutne brednie. A pan tu jakiś bałagan robi. A poza tym, nawet jakbym chciał, nie mogę panu iść na rękę. Ja, proszę pana, muszę rozliczać się z każdego, kto nie poszedł.

Staralem się mu wytłumaczyć, że studiuje filozofię, a w wolnych chwilach pisuję wierszyki, i obawiam się, że dwuletnie koszarowanie nie wyjdzie na dobre ani moim studiom, ani też wierszykom.

– Ależ pan jest w błędzie! To, że zajmuje się pan filozofią i literaturą, w żaden sposób nie przeszkodzi panu w odbyciu służby. Zresztą, dobrze, że mi pan o tym powiedział. Postaramy się skierować pana do takiej jednostki, w której służba będzie w jakiś sposób współgrała z pańskimi zainteresowaniami.

Prawdopodobnie dlatego trafiłem do czołgów.

– A jakie są pańskie plany na przyszłość? Jako krytyka, oczywiście – zapytał mnie w Pałacu Kazimierzowskim Nestor Krytyków.

– Trudno mówić o planach. Za tydzień będę już w wojsku.

– Aha – sapnął N.K. z nagłym błyskiem w oku. – Tego to panu nawet zazdroszczę. Niech pan Mnie dobrze zrozumie; jest pan młodym, zdolnym człowiekiem. A groziło panu zatonięcie w kawiarnianym bagienku. (Pan wie, co oni o Mnie?) Wie pan, z tego się bardzo trudno wyciągnąć. Tam zaś będzie pan miał pole do naprawdę twórczej obserwacji. Wejście w tak odmienne środowisko, to dla każdego twórcy cenne, bardzo cenne doświadczenie.

Zdenerwował mnie tylko. Niby Żyd, a takie bzdury opowiada.

Kazik chciał uprzyjemnić mi ostatni dzień wolności. Chodź – powiedział – poznam cię z Postacią Historyczną. Lecieliśmy przez całą Warszawę, a on do końca nie chciał wyjawić, kogo miał na myśli. Postać Historyczna i tyle.

A P.H. umiał się znaleźć. Jak tylko zorientował się, w jakiej jestem sytuacji, zaczął mnie pocieszać.

– Niech się pan zbytnio nie przejmuj – mówił. – Wojsko to tylko karykatura ustroju totalitarnego, do którego – jak sądzę – zdołał się pan już przyzwyczaić. Jak panu wiadomo, ustrój totalitarny zbudowany jest na zasadzie sieci, która nas tak naokoło oplata, oplata. Ale każda sieć ma to do siebie, że posiada oka, w których przeciętnie inteligentny człowiek potrafi uwić sobie spokojne gniazdko. Czego i panu serdecznie życzę.

Przy pożegnaniu Kazik mocno uściskał mi dłoń.

– Mam nadzieję, Antoni, że doczekamy jeszcze czasów, gdy młodzi ludzie będą pełni dumy szli do POLSKIEGO wojska.

Ja nie miałem tej nadziei. Nie mam jej do dzisiaj. Zresztą, Kazik, wojsko jest zawsze wojskiem. Poza wszystkim innym.

Początkiem drogi był Dworzec Wschodni. Całe tłumy młodych ludzi. Pijanych młodych ludzi. Pijanych i wyjących młodych ludzi.

Wojskowe piosenki wzbijały się pod dach dworca. Jak barany na rzeź wsiadali do pociągów kolejni obrońcy granic. Ten koszmar towarzyszył mi przez całą drogę. W pewnych chwilach robiło mi się wręcz głupio za tę moją trzeźwość, za brak śpiewu. Wyglądało na to, że ja jeden boję się tego, co nas czeka. Że tamci jadą pełni pijanej radości, a ja jeden itd.

Stałem obok jakiegoś starszego faceta, który z pewnym niedowierzaniem obserwował ten Wesóły Pociąg. W pewnym momencie facet zaczął do mnie mówić.

– Wie pan, wojsko nie jest łatwą rzeczą. Ja się wcale nie dziwię, że oni nie mają ochoty tam iść. Ale to w sumie niedobrze, bo powinni. Nie, nie dlatego, że to obowiązek i tak dalej. Ode mnie pan czegoś takiego nie usłyszysz, nie jestem dziennikiem telewizyjnym. Po prostu tak już w życiu jest, że wojsko i więzienie to największa i najlepsza szkoła życia. Ja, panie, byłem już w paru wojskach i paru więzieniach. Najpierw, w trzydziestym dziewiątym, w polskim wojsku. Normalne. Zaraz na początku wojny Niemcy wzięli mnie do niewoli. Ale obozu jenieckiego nie zobaczyłem, bo udało mi się uciec z transportu. Do czterdziestego trzeciego byłem w AK na terenie Warszawy. I w tedy Niemcy znów mnie złapali. Tym razem gestapo. I po raz drugi udało mi się uciec. Byłem już spalony w mieście i musiałem iść do lasu, do oddziału. A jak w czterdziestym czwartym przyszli Ruskie, to pierwsza rzecz nas zamknęli. Wtedy właśnie uciekłem z więzienia po raz ostatni. Ruscy zamykali mnie na fałszywych papierach, więc pod prawdziwym nazwiskiem wstąpiłem do kościuszkowców. Byłem z nimi, panie, aż do Berlina. Po wojnie chciałem zostać w wojsku i nawet zostałem. Ale niedługo. W czterdziestym ósmym ktoś wpadł na to, że zwiąłem Ruskim. Wie pan, wtedy się nie patyczkowali, można było i czapę lekką rączką zarobić. Zamknęli i koniec. Nawet nie miałem już ochoty uciekać. Wyszedłem zupełnie legalnie w pięćdziesiątym piątym.

I widzi pan: tyle wojsk, tyle więzień. Ale jak patrzę z perspektywy, to nawet jestem zadowolony, że los mnie tak doświadczył. Nie ma we mnie chęci zemsty na kimkolwiek. To naprawdę wielka szkoła. Oni wszyscy, a w każdym razie ci inteligentniejsi, także dojdą do tego wniosku. Bardzo w to wierzę. Oby jak najprędzej. Nie wyobraża pan sobie, jak taka świadomość może im pomóc. Przynajmniej w początkowym, najtrudniejszym okresie.

A poza tym, jakby tak porównać wojsko dwadzieścia lat temu i teraz. Toż to sanatorium. Co wcale nie znaczy, że chciałbym umniejszać ich cierpienia. Nie, chyba po prostu tak jest, że każde pokolenie ma inny, swój udział w cierpieniu.

W miejscu docelowym byłem rano. Trzeźwy, tylko zmęczony całonocną podróżą. I gnany myślą: muszę tutaj, teraz, jeszcze przed przekroczeniem bramy poznać kilku z tych, z którymi przyjdzie dzielić ten okres. Wydawało mi się to konieczne. Więcej niż konieczne. Byłem pewien, że w dużej mierze ułatwi to aklimatyzację. Będzie wszak ktoś, z kim można wrócić wspomnieniem do tych kilku ubogich chwil pozostawionych na zewnątrz.

Akurat napatoczyło się dwóch. Przyczepiłem się do nich, starałem się upodobnić, stać się jednym z nich lub oboma naraz. Wiedziałem, że to może być jedyna droga, żeby mnie zaakceptowali.

I poszliśmy w tan. Najpierw po butelce wina. Zaczęło się pierwsze macanie:

Skąd jesteś?

Ile razy udało ci się mignąć?

Itd.

Od pierwszej chwili zdobyłem coś w rodzaju szacunku. Nie byłem nawet najstarszy, byłem dla nich po prostu stary. Cztery, sześć lat to już w tym wieku wiele. Ale dorosłość trzeba potwierdzić silną głową. Więc dalej, dalej. Więc po dwie setki i po dwa piwa. I dalej. Szliśmy przez miasteczko zbierając innych, takich jak my. Jeszcze sklep i jeszcze po trzy wina za paski od spodni. Na ulicy, a potem w domu jakiegoś miejscowego. Stamtąd też chyba jeszcze jakieś zakupy. Ale ja się nie popisałem, nie pamiętam, straciłem film.

Odzyskałem go dopiero w jednostce. Do dziś nie wiem, w jaki sposób tam trafiłem.

W jednostce najpierw przechodzi się przez coś w rodzaju powtórnej komisji wcieleniowej. Kilku lekarzy i facet wypytujący o życiorys. Tutaj właśnie przydzielają do poszczególnych pododdziałów.

Przez komisję przeszedłem bez większych kłopotów. Tylko przy tym nielekarskim stoliku wdałem się w dyskusję mocno zawiłą z jakimś majorem. Poszło o to, czy jestem karany. Powiedziałem mu, że to skomplikowana historia – i jestem, i nie jestem. Zażądał wyjaśnienia. A ja z pijackim uporem powtarzałem w kółko to samo, dodając co jakiś czas, że to trochę zbyt skomplikowane, by on to zdołał zrozumieć.

W końcu dał mi spokój.

Zaczęto przerabiać mnie na żołnierza.

Najpierw strzyżenie. Fryzjer o mało nie zwariował z radości, gdy zobaczył moje spływające na plecy włosy. Od razu na zero.

Potem rozbieraliśmy się do naga i pakowaliśmy cywilne ubrania do worków, z których próbowaliśmy robić paczki do domu. I łaźnia. Nadzy i łysi pod prysznicami z ledwie letnią wodą. Teraz już zupełnie nie mogłem poznać świeżych kolegów. Fryzjer zmienił nas w sposób zasadniczy. Byliśmy grupą anonimowych gołców.

Z łaźni do kilku stoisk – jak w sklepie, tyle, że bez płacenia.

STOISKO I – bielizna.

– Masz tu spodenki i podkoszulkę. Co marudzisz? Jak za duże, to i lepiej, że nie za małe.

Koszulka to nic, ale spodenki ciągle spadają.

STOISKO II – moro.

– Za duże, to skrócisz, za małe, to wymienisz. Co się tak gapisz – spierdalaj.

Szybko do następnego.

STOISKO III – komplet alarmowy.

Jakieś chlebaczki, zapasowe gacie, koszulki itd. Po cholere tego aż tyle?

STOISKO IV – galanteria skórzana.

A więc pasy i buty. Tutaj przynajmniej można sobie dobrać na miarę.

STOISKO V – obuwie sportowe.

tenisówki (j.w.)

STOISKO VI – berety.

Też na miarę.

A poza tym właśnie tutaj jak najszybciej należało nauczyć się zawiązywać onuce. Coś nieprawdopodobnie trudnego. Potem wszystko pod pachę i na kompanię.

Leżeliśmy już w łózkach próbując zasnąć, gdy – około wpół do jedenastej – przyszło dwóch nowych. Spoglądali na nas mętnie, spode łba. Z zaciekawieniem przyglądaliśmy się ich przygotowaniom do snu. Panowało pełne napięcia milczenie. W pewnym momencie jeden z nich zapytał: A kiedy tu dają kolację?

Strasznie nas to rozśmieszyło. Śmieliśmy się długo i niepohamowanie. W tym śmiechu było coś oczyszczającego. Teraz już wiedzieliśmy – jesteśmy w wojsku.

II

Drugiego dnia pobytu w jednostce wzbudziłem zainteresowanie sekcji politycznej. Kazali mnie do siebie, do sztabu, przyprowadzić.

Młody porucznik posadził mnie naprzeciw siebie.

– Tak. Oglądałeś może telewizję w cywilu? Bo wiesz, ja tam prowadziłem jeszcze niedawno program dla młodzieży...

Z przykrością poinformowałem go, że raczej nie zdarzało mi się oglądać programów dla młodzieży. Ale specjalnie go to nie zniechęciło. Okazało się, że nie tylko po to mnie tutaj wezwano.

– Co wyście pokręcili wczoraj przy ewidencji z tą waszą karalnością?

Na wszelki wypadek rozejrzałem się wokoło. Ale byliśmy sami. Cóż, trzeba się będzie przyzwyczaić do drugiej osoby liczby mnogiej.

Wyjaśniłem, że owszem, byłem karany, ale już nie jestem. Bowiem wyrok z zawieszeniem po zakończeniu zawieszenia ulega automatycznemu zatarciu. Przekonywał mnie, że tak wcale nie jest. „Nie znacie prawa, ot co”. Bardzo delikatnie suponowałem mu, że może być akurat odwrotnie.

Jakoś nie mogliśmy się dogadać.

– No, dobra – zniecierpliwił się po chwili. – Zostawmy to na razie. Mam nadzieję, że nie przysłiszcie tutaj po to, by odsłużyć, ale po to, by służyć. Bez względu na wasze (katolickie – prawda?) poglądy, powinniście być dumni, że możecie spełnić zaszczytny obowiązek wobec ojczyzny. Jeżeli będziecie szczerze służyć, będzie dobrze. I, mam nadzieję, nie będziecie próbowali za wszelką cenę stąd się wyrwać. Myśmy tu nawet mieli jednego takiego, też katolik. I wyszedł. Ale co? – do dziś nie może pracy znaleźć, a to już przeszło rok.

Porucznik poczęstował mnie jeszcze obietnicą, że jeśli podczas okresu unitarnego będę się bardzo starał być dobrym żołnierzem, to będę mógł pracować w ich sekcji jako „pisarz – maszynista”.

– Będziesz miał złote życie. Twoi kumple się upierdola, aż im się jaja w pocie zagotują, a ty – jak pan.

Na pożegnanie chciał jeszcze sprawdzić, czy rzeczywiście tak biegle piszę na maszynie. Dał mi papier i kazał pisać: „Jestem dumny i szczęśliwy, że odbywam zasadniczą służbę wojskową”. Po chwili poważnej rozterki napisałem: „Urodziłem się czwartego sierpnia pięćdziesiątego roku w Sopocie”.

Nie był ze mnie zadowolony.

Jak zawsze: najtrudniejsze są pierwsze dni.

Wrzucają cię w jakąś zbiorowość i wydaje ci się, że świat ten, za murami, przestał nagle istnieć. Zanim otrzymasz pierwszy list – to jedyne potwierdzenie istnienia świata – mija tydzień do dwóch. Przez ten czas masz taką cholerną pewność, że wszyscy o tobie zapomnieli.

Przychodzą do głowy różne głupie pomysły. Na przykład: czy warto próbować ocalać siebie, swoją godność. Dla kogo, skoro i tak nikt nie zauważył twojego zniknięcia z tamtego, dobrego świata.

Zaczynasz liczyć dni, które dzielą cię od powrotu.

Z początku jest ich około siedmiuset czterestu.

Przez pierwsze dni – może tydzień – mój mózg w ogóle nie pracował. Był wyłączony jak zbędne urządzenie. Nie myślałem, nie zastanawiałem się nad niczym. Kiedy pytano mnie o nazwisko, musiałem mieć trochę czasu na przypomnienie sobie. Nie tylko ja. Byliśmy wszyscy jak ściśle zaprogramowane automaty. Reagowaliśmy tylko na krzyk i tryb rozkazujący. Biegaliśmy, maszerowaliśmy, śpiewaliśmy, czołgaliśmy (się), myliśmy (się), spaliliśmy, jedliśmy, paliliśmy – wszystko tylko na rozkaz.

Własną inicjatywę przejawialiśmy tylko w sprawie potrzeb fizjologicznych. Zresztą ja dopiero po trzech dniach. Do tego bowiem czasu miałem wyłączony także żołądek.

A poza tym to deprymujące uczucie wstydu, gdy musisz przy wszystkich:

– Obywatelu kapralu, szeregowy Jabłkowski melduje się z zapytaniem... Czy mogę iść do ubikacji?

A taki buc na to: Siusiu czy kupkę?

Początkowo jedną z najtrudniejszych rzeczy, obok skomplikowanego sposobu ślania łóżek, było poranne mycie. Dokładnie dwie minuty na umycie – nóg, rąk włącznie z wyczyszczeniem paznokci (do sprawdzenia), twarzy, i jeszcze się ogolić.

Najgorsze było to ostatnie. W domu miałem maszynkę elektryczną, ale tutaj nie wolno. Tutaj wszyscy muszą mieć identyczne przybory, więc najprymitywniejsze maszynki żyletkowe marki JUNIOR po 45 złotych. Nigdy przedtem nie goliłem się żyletką. Po każdej próbie wyglądałem jak korporant po pojedynku.

Żołnierz przed przysięgą nie może opuszczać terenu jednostki. Nie może nawet bez opieki poruszać się poza budynkiem kompanii. Ale jednemu z nas poszczęściło się. Był w cywilu kelnerem i w związku z tym dane mu było przeżyć Przygodę. Urządzano dla rodzin kadry coś w rodzaju pikniku nad jeziorem. Potrzebni byli kucharze i kelnerzy. Pojechał i on. Wrócił całkowicie załamany. Opowiadał:

Podsmażałem węgorka dla jakiegoś majora. I patrzyłem. Mówię wam, jakie dziewczyny. Jedzą, tańczą, pływają, opalają się. Dopiero jak tam byłem, uświadomiłem sobie, w co ja się dałem wpakować. Zrozumiałem, że życie przecieka mi między palcami. Że wszystko to, co jest udziałem tych dziewczyn, przemyka obok mnie. Że zostawiłem po tamtej stronie muru zbyt wiele. Chciało mi się płakać. Chłopaki, nie potrafię tego wszystkiego tak dobrze opowiedzieć, ale naprawdę miałem łzy w oczach. Nie wstydzę się tego. A poza tym, słuchajcie, one mówiły do mnie „proszę pana”. Słowo honoru. Nie istniałem dla nich jako facet, jako mężczyzna, ale mówiły „proszę pana”.

„Uprzejmie zawiadamiamy, że syn Wasz..... zameldował swoje przybycie do naszej jednostki w nakazanym terminie i przystąpił do odbywania zasadniczej służby wojskowej w szeregach Ludowego Wojska Polskiego.

Przekraczając bramę koszar syn Wasz wszedł w nowy okres swego młodzięczego życia, który wywrze istotny wpływ na dalszy proces rozwoju jego osobowości. Służba wojskowa jest bowiem zaszczytnym patriotycznym obowiązkiem obywateli Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, w toku której, sposobiąc się do obrony granic i niepodległego bytu Ojczyzny, młodzi obywatele zdobywają rozległą wiedzę i praktyczne umiejętności ofiarnej i rzetelnej służby dla dobra narodu, socjalizmu i pokoju.

Jednostka wojskowa, w której synowi przypadło odbyć ten podstawowy obowiązek obywatelski, legitymuje się poważnymi osiągnięciami szkoleniowo – wychowawczymi. Kontynuując chlubne postępowe i rewolucyjne tradycje narodu polskiego i jego oręża przysporzyła ona naszej ludowej Ojczyźnie liczne zastępy ofiarnych i doskonale wyszkolonych obrońców – gorących patriotów i internacjonalistów, służących z całego serca i wszystkich sił sprawie ludu pracującego.

Zdajemy sobie sprawę, że nieobecność syna w gronie rodzinnym wywołuje wśród najbliższych mu osób tęsknotę i troskę o jego los. Pragniemy przeto uspokoić Was, donosząc niniejszym, że syn wasz godnie przyjęty został do wielkiej rodziny wojskowej, pozyskując nowych serdecznych przyjaciół oraz doświadczonych, troskliwych i sprawiedliwych przełożonych. Otrzymał należyte umundurowanie i oporządzenie osobiste, mieszka wygodnie i schludnie, otrzymuje wysokokaloryczne pożywienie, ma solidną opiekę lekarską oraz dobre warunki wypoczynku, rekreacji i kulturalnego rozwoju.

Obecnie syn przechodzi szkolenie unitarne, zapoznając się z podstawowymi powinnościami żołnierskimi i elementarnymi zasadami rzemiosła wojskowego. Jego dotychczasowe zachowanie i podejście do wykonywania obowiązków służbowych jest nienaganne. Specyfika współczesnej służby wojskowej oraz to, że Ludowe Wojsko Polskie jest armią na wskroś nowoczesną sprawia, że dalsze należyte wywiązywanie się z ciężących nań obowiązków wymagać będzie z jego strony dużej rzetelności, wysokiego zdyscyplinowania i samozaparcia w pokonywaniu codzienności.

W imieniu dowództwa jednostki oraz bezpośrednich dowódców i wychowawców zapewniamy Was, że uczynimy wszystko, aby syn z honorem mógł wypełnić swój zaszczytny i odpowiedzialny obowiązek obywatelski. Prosimy jednak o pomoc z Waszej strony w postaci ciepłych patriotycznych słów rodzicielskiej zachęty w korespondencji do syna, co z pewnością pomoże mu w pełnej adaptacji do warunków życia wojskowego oraz w osiągnięciu wzorowych wyników w szkoleniu i wychowaniu.

Z ŻOŁNIERSKIM POZDROWIENIEM

Przez pewien czas miałem wrażenie pełnego roztopienia się w zbiorowości. Przekonanie o uniformizacji nie tylko zewnętrznej było we mnie stosunkowo silne i sprawiało mi swego rodzaju radość. W warunkach pełnej anonimowości wydawało mi się to bardzo korzystne. Temu przeświadczeniu zdawało się wszystko sprzyjać. Nie byłem sam – byłem taki sam. Tak samo jak moi koledzy odczuwałem zmęczenie, zimno, tęsknotę za domem i nienawiść do kaprali. Ale stosunkowo szybko zostałem wyrwany z samozadowalającego uczucia tożsamości. I – przynajmniej z początku – w nowej roli, w roli innego, nie czułem się najlepiej.

Pierwszy sygnał odmienności odebrałem na zajęciach politycznych. Prowadzący opowiadał nam o historii hymnu narodowego. W części dyskusyjnej zajęć o głos poprosił Adaś.

– Obywatelu poruczniku, jak ja słyszę nasz hymn, jak grają „Jeszcze Polska nie zginęła”, to mnie coś tu, o tu mnie, mnie...

I szarpie się za bluzę na piersiach.

Pomyślałem wtedy: dobry dowcip, tylko gorzej, jak się porucznik orientuje, że z niego Adaś balona robi. Po chwili jednak ze zdumieniem zrozumiałem, że chłopak mówi serio. Że oto wylewa przed nami całe swoje jestestwo. Był to dla mnie swego rodzaju szok.

Potem dowody tej niewygodnej inności posypały się już lawinowo. Byłem chyba jedynym żołnierzem LWP, który za nic nie chciał zafundować sobie pamiątki z wojska w postaci fotografii w mundurze. Wszyscy chcieli mieć takie zdjęcie, tylko ja jakoś nie. Ale mam. Do jednego zostałem formalnie zmuszony przez dowódcę plutonu.

Później, kiedy nas puszczano do domów, różniliśmy się stosunkiem do munduru. Oni przyjeżdżając do domów zabierali się od razu do prasowania i czyszczenia munduru i potem robili w nim obchód rodziny i znajomych. Ja inaczej. Z dworca na te swoje Stegny niemal przemykałem się podwórkami, byle tylko nikt ze znajomych nie zauważył. W domu ciskałem mundur w ką i aż do wyjazdu starałem się nawet na niego nie patrzeć. Wstydzilem się swego pobytu w wojsku. Ten wstyd pozostał mi do dzisiaj.

Także chusty. Kiedy wychodzi się z wojska, robi się na tę okazję chusty z kawałków prześcieradła. Taki zwyczaj. Po brzegach chustę obszywa się frędzlami. Na środku się maluje. Najlepsze elementy do wymalowania, elementy nieodzowne to: czołg, orzeł, goła dupa, statua wolności z tego amerykańskiego miasta oraz napis „freedom” albo „fre”. W wolnych miejscach koledzy z poboru wpisują swoje adresy.

Wszyscy dziwili się dlaczego nie mam chusty.

Uciekają. Wszyscy możliwymi sposobami starają się stąd wydostać. Od prymitywnych, obliczonych na krótką metę prób przeskoczenia przez mur, po sposoby bardziej wyrafinowane. Najczęściej przez zakład psychiatryczny.

ZBYSZEK Wzorowy dowódca drużyny. Rok służby. Raptem znika. Po dwóch dniach sam wraca do koszar. Tego samego dnia wieczorem truje się jakimiś tabletkami. Po odratowaniu idzie na miesięczną obserwację do zakładu. Jednakże wraca z orzeczeniem, że zdrowy i zdolny do dalszego pełnienia służby. Stara się więc o przeniesienie do innej jednostki, co przez kadrę zostaje przyjęte z ulgą. Tam robi kilka podobnych numerów i nareszcie zostaje zwolniony. Na cztery miesiące przed terminem.

ANDRZEJ Trzeci dzień w wojsku. Nie wytrzymuje ciągłego krzyku i gadania. Rzuca się na dowódcę drużyny z nożem od niezbędnika. Miesięczna obserwacja i niezdolny do dalszej służby.

MAREK Pół roku służby. Z jakichś powodów nie chcą go puścić do domu na przepustkę. W nocy, w świetlicy demonstracyjnie tnie się żyłką, a raczej – jak sam mówił – mojką. Tnie się po przegubach, piersiach, brzuchu i policzkach. Staczymy z nim szaloną walkę o żyłkę, bo ma ochotę pokiereszować także i innych. Miesięczna obserwacja i do domu.

JAN Uparta, chłopska walka przez całe dwa lata. Obrzucenie kadry kompanii taboretami. Pogoń za dyżurnym z siekierą w dłoniach. Ale zyskał tylko tyle, że jako jedyny żołnierz pułku nie brał udziału w zajęciach strzeleckich i nie pełnił warty. Nikt z kadry nie chciał brać na siebie odpowiedzialności za wydanie mu broni czy amunicji. Ale trzymali go, nie wiadomo po co, przez cały okres służby.

ANDRZEJ II Podciął sobie żyły na tydzień przed przysięgą. Przedtem pisał jakieś podania o zamienienie mu służby wojskowej na pięć lat więzienia. Był to typowy „git” przekonany, że więzienie, oprócz tego, że go nobilituje, będzie łatwiejsze.

RYSZARD Przez cały rok nocne moczenie, którego w rzeczywistości nie miał. W końcu udało mu się, dostał roczne odroczenie. Ten chłopak wzbudził we mnie coś w rodzaju szczerego podziwu. Cały rok wysiłał się, aby systematycznie lać w nocy pod siebie. Wyśmiewany i bity przez kolegów, nie poddał się.

Przysięga wojskowa jest chyba najdziwniejszym ze świąt świeckich. Może to wina niecodziennych warunków, w jakich się odbywa, w każdym razie czasem wydaje mi się, że przypomina ona wszystkie sakramenty naraz. Tak jakby z każdego z nich brała po trochu.

Na wiele dni przed samą przysięgą w oddalonych czasem o setki kilometrów domach trwa podniecenie. Częściej odwiedzane są sklepy. Trzeba synusiowi kupić przynajmniej trochę wędliny. Tak ich tam źle karmią, pisał przecież. I owoce, bo to zawsze witaminy, na pewno nie dają im tam owoców. Aha, i alkohol, niech se chłopak łyknie przy swoim święcie.

Rodzice, dziewczyny, koledzy. Wszyscy chcieliby jechać. Bo trzeba: tyle się go już nie widziało, a poza tym podnieść na duchu. Bo wypada: do każdego przecież ktoś przyjeżdża, a do naszego nikt? Albo po prostu dlatego, że nadarza się jeszcze jedna polska okazja do wypicia.

A potem w pociągach, gromadnie, z tobołami wypchanymi mięsem, wędliną, ciastem; słodyczami i wódką. Jedyne polskie święto, które zawsze spędza się poza domem. Od wczesnego rana przed bramą jednostki. Żołnierze z biura przepustek początkowo rewidują wszystkie bagaże w poszukiwaniu alkoholu. A potem już tylko wrywkowo, zbyt duży tłok jak na ich możliwości. Przeciętnie na jednej przysiędze konfiskuje się (czy raczej – bierze na przechowanie) grubo ponad sto litrów alkoholu. A i tak wiadomo, że co najmniej drugie tyle udało się odwiedzającym przeschmuglować na teren jednostki.

Potem to niecierpliwe czekanie. Jeszcze tyle godzin. Sama uroczystość zacznie się dopiero około godziny dziesiątej. I potrwa swoje. Więc kiedy się nim nacieszyć?

I już: maszerują! Czasem wręcz trudno poznać tego, do którego się przyjechało. Taki jakiś obcy. Bez brody, bez włosów i bez tej dzinsowej kurtki. Ale w sumie, popatrz matka, całkiem mu do twarzy w mundurze. No, elegancko. I na twarzy się trochę poprawił.

A w jednostce, wśród nas, już na tydzień przed, nerwowa atmosfera. Dzień w dzień wielogodzinne próby defilady i samej uroczystości. Aż do znudzenia, do upadłego.

W przeddzień zebranie w świetlicy. Ostrzeżenie kadry.

– Obywatele, już niedługo wasze wielkie święto. Przysięga, po której staniecie się żołnierzami w pełnym tego słowa znaczeniu. Zwiększy się wasz zakres obowiązków, ale i zwiększą się uprawnienia. Na przykład będziecie mogli już jeździć na przepustki i urlopy, a wiem, że o to chodzi wam najbardziej. Tylko ostrzegam: żeby mi tu nie było żadnego picia na przysiędze. Jeżeli stwierdzą, że ktoś z was sobie chociaż trochę wypił, ma z głowy przepustki na co najmniej pół roku. I te pół roku to nie będzie okres najmilej w życiu wspomniany. Myślę, obywatele, że doskonale się wszyscy rozumiemy i nie będzie żadnych nieprzyjemnych wypadków.

A po południu, gdy kadra spokojnie siedzi w domach przed telewizorami, taką samą pogadankę urządzają dla nas dowódcy drużyn.

– Młodzież słyszała, że ma nie pić, nie? Słuchajcie, obywatele, powoli przestajecie być jebanymi sierściuchami. Ale nie myślcie sobie za wiele. Jak mi ktoś podskoczy, to i tak go zajebię, choćby miał i tysiąc przysięg. Zrozumiano? I pamiętajcie: żadnego picia. Jak wam przywiożą wódkę, to najpierw swojego kaprala poprosić, żeby z wami wypił. Jasne? No! A wy żołnierzu, podobno macie siostrę. Fajna chociaż? Fajna, to da dupy kapralowi, nie? Niechby spróbowała nie dać, to będziesz miał kocie przesrane do końca mojej fali.

A ja znów obserwuję tę denerwującą inność, która oddala mnie od moich kolegów coraz bardziej. Przysłuchuję się ich rozmowom w nocy, podczas prasowania mundurów. Jesteśmy sami, w swoim gronie, kaprale już śpią. Chłopcy się naprawdę cieszą, że staną się nareszcie prawdziwymi żołnierzami, że w zasadniczy sposób zmieni się, poprawi ich sytuacja. Ale ja wiem, że zmieni się tylko o tyle, że będziemy mogli z rzadka jeździć do domu. A to przecież jest niewiele, nie zmienia to istoty zupełnie więziennego odosobnienia.

– Chłopaki, trzeba się postarać, żeby nasza kompania wypadła najlepiej ze wszystkich na przysiędze, nie?

Nie! Denerwuje mnie to wszystko. A najbardziej przeraża perspektywa mojego udziału w przysiędze. Już teraz czuję się tym upokorzony. Nie dość, że będę musiał pokazywać się najbliższemu w mundurze, to jeszcze ta defilada. Jak kukła. Jak na próbach, kiedy krok defiladowy kazał nam kapral ćwiczyć w takt wierszyka. Więc maszerujemy w tę i z powrotem w dwudziestu kilku i jak idioci skandujemy:

rączka

sprzączka

nóżka wyżej
do przysięgi
coraz bliżej

A jeszcze mam takie trochę niedorzeczne, swoje problemy, którymi nawet podzielić się nie ma z kim. Dowiedziałem się od kilku bardziej ustosunkowanych żołnierzy, że jest niedobra atmosfera. Nie będzie przepustek nawet na miasto. W tym pułku po raz pierwszy od paru lat.

– Rozumiesz, stary, podobno w Radomiu i jeszcze gdzieś są jakieś awantury. To przez te podwyżki. A jesteśmy obok dużego miasta przemysłowego. I w razie czego musimy być w pogotowiu.

I właśnie w związku z tym mam te swoje kłopoty. Zbyt dobrze pamiętam wypadki grudniowe, aby się nie obawiać. Co prawda, widziałem je tylko z okna, ale było to okno w Gdańsku, a nie w Honolulu. Zaczynam obsesyjnie myśleć, co się stanie ze mną, gdy wyślą nas pacyfikować jakieś miasto. Nie wiedziałem, jaki zasięg ma to wszystko w Radomiu. Ale wiedziałem, że gdyby zaszła potrzeba, wysłaliby wojsko. Więc jak postąpić, co zrobić...

W przeddzień przysięgi przepisywałem coś na maszynie w sztabie. Bardzo się z tej pracy cieszyłem, bo w tym samym czasie moi koledzy mieli wyczerpujące przygotowania do defilady. Niechcący stałem się świadkiem rozmowy, która podtrzymała, wzmocniła mój niepokój. Był to telefon z dywizji. Przekazano wyraźnie polecenie, aby aż do odwołania nie dostarczać żołnierzom prasy centralnej. Było to co najmniej zaskakujące, zważywszy, że dzień przedtem premier odwołał podwyżki. Czyżby upadł gabinet?

Stoimy w kolumnach czwórkowych na nasłonecznionym placu. Wznosimy palce. Jak w dzieciństwie nie otwieram ust, gdy żołnierze powtarzają słowa przysięgi. Czy chciałem mieć to dziecinne usprawiedliwienie: ja przecież nie przysięgałem... Tępo wpatruję się w trybunę honorową. Dowództwo jednostki, ojcowie miasta, kilku wiarusów ze ZBoWiD-u i przedstawiciele zaprzyjaźnionej ze mną Armii Radzieckiej. Ale tępy wyraz twarzy to tylko pozór. Bo oto w głowie rodzi się pomysł skontaktowania się z prawnikiem. A potem, jeśli moje domysły są słuszne, napisać artykuł „Ważność przysięgi wojskowej w świetle prawa polskiego”. I – oczywiście – udowodnić, że jest nieważna. Bo przecież musi być w ustawodawstwie polskim przepis unieważniający przysięgi i przyrzeczenia składane pod przymusem. A jeśli ma się do wyboru służbę wojskową, co w konsekwencji prowadzi do przysięgi, lub „do pięciu lat więzienia”, to trudno nie mówić o jakiejś formie przymusu.

Ta myśl pokrząka mnie.

Na trybunę wchodzi jeden z nas. Wyciąga kartkę i czyta:

„Obywatelu Pułkowniku!

Obywatelu Majorze!

Szanowni Goście!

Drodzy Rodzice!

Żołnierze!

Przed chwilą złożyliśmy akt ślubowania Ojczyźnie – Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. Jest to dla nas wszystkich wielkie przeżycie i wzruszenie. Mądre i wiele znaczące słowa przysięgi wojskowej zapadły mocno w nasze żołnierskie serca, traktujemy je jako osobiste zobowiązanie wobec narodu i partii.

Zdajemy sobie sprawę z tego, że przysięga wojskowa jest wyrażeniem celów i zadań postawionych nam przez naród.

Przecież to przysięga na całe życie, przysięga Polsce, której synami jesteśmy, której praw i honoru będziemy zawsze bronić jako obywatele i żołnierze Ludowego Wojska Polskiego, spadkobiercy jego wspaniałych tradycji bojowych.

Pragnę podziękować wszystkim przełożonym za ukształtowanie z nas, którzy jeszcze dwa miesiące temu nie mieliśmy pojęcia o wojsku, dobrych żołnierzy.

Zapewniam, że nie zawiedziemy naszych przełożonych, nie zawiedziemy naszych rodziców, którzy – wiemy o tym – pragną w nas widzieć swoją chlubę, że będziemy wzorowymi żołnierzami.

W imieniu wszystkich żołnierzy dziękuję serdecznie naszym droгим rodzicom za ofiarność w naszym wychowaniu i za przybycie na uroczystość”.

Na drugi dzień przyłapałem go.

– Słuchaj, stary, że byłeś współautorem tego idiotyzmu, to jeszcze pół biedy. Ale co się stało, że zgodziłeś się wygłosić to?

Zdziwił się: Przecież dostałem za to pięć dni urlopu.

Ale tu, na placu, znowu ogarnia mnie panika. Czekają mnie jeszcze przecież te odwiedziny z domu. I rzeczywiście. Tak długo brak osobistego kontaktu, tak mało czasu teraz. Duszna, nie wietrzona sala pełna potu i kurzu. Z obu stron dyskretne spojrzenia rzucone wprost w oczy zegarka. I przepaszające gesty. I zapewnienia: jakoś to przecież będzie, Kiedyś się musi skończyć. A czas płynie.

Dochodzi do tego, że wracam do koszar z pewną ulgą. Ponieważ kończy się sztywna atmosfera. Wracam do miejsca, które znam, nie czuję w nim skrepowania. Chociaż nie ma też przyzwyczajenia.

Większość wraca pijana. Częstują dowódców drużyn. A raczej dają im haracz. Dowódcy drużyn bowiem nie pytają, czy mogą. Chodzą między nimi dosłownie wydzierając co smakowitsze kąski.

A więc kończy się pewien etap. Od następnego dnia, od samej pobudki, będzie się tym, kogo nazywają świadomym żołnierzem. Jak się czujesz, świadomy żołnierzu? Ale właśnie fakt, że się wie o zakończeniu tego pierwszego, podstawowego etapu służby, z przerażającą jasnością pozwala sobie wyobrazić, jak długo jeszcze trzeba będzie tu siedzieć. To przecież zaledwie dwa miesiące. Liczba dni, które jeszcze przed nami, w dalszym ciągu niewyobrażalna.

III

KRÓTKI SŁOWNIK OPISOWY GWARY WOJSKOWEJ (PRÓBA)

Słownik ten nie ma ambicji wyczerpania problemu. Każda jednostka wnosi do gwary swoiste, niepowtarzalne elementy. Służyłem tylko w trzech pułkach, w związku z tym moja znajomość gwar jest raczej średnia.

ANCEL – Areszt wojskowy.

BIAŁE SZALEŃSTWO – Biały ser ze śmietaną. Bardzo często zamiast posiłku na kolację.

BLACHA – Błaznana końcówka Falomierza. Każdy rezerwista ma prawo nosić ją na pasku od zegarka. Bywa jednak i tak, że młody żołnierz jadąc na przepustkę zakłada Blachę. To niedopuszczalne.

FALA – Tym mianem określa się liczba dni, jaka została do cywila. Np. 214 dni do cywila nazywa się „Fala 214”, a zapisuje się (na murze) „F-214”. Ale biada temu, kto pochwalił się taką falą. Falą miał prawo się chwalić tylko Falowiec. Falę liczy się od tyłu. Na początku jest 714, a na końcu 0.

FALA SIĘ JEBŁA – Dostało się parę dni Ancla, który automatycznie o tę samą liczbę dni przedłuży służbę. Trzeba te dni doliczyć do swojej Fali.

FALOWIEC – Żołnierz posiadający Falę. Falę posiada się wtedy, gdy wyszli już wszyscy, którzy mieli wyjść przed tobą i jesteś pierwszym kandydatem do wyjścia. Tylko Falowcowi przysługuje prawo meldowania Fali na stołówce. Zgodnie z niepisanymi prawami, Falowiec nic nie robi, wysługując się wszystkim młodymi. Czasami kadra przestrzega tych zwyczajów, a czasami nie.

FALOWAĆ – Dawać wszystkim do zrozumienia, że jest się Falowcem. Do najważniejszych atrybutów Falowania należą między innymi: czapka na bakier, dłuższe włosy, wylegiwanie się w łóżku w czasie niedozwolonym, trzymanie rąk w kieszeniach, samowolne bezrobocie, arogancki stosunek do młodych, meldowanie Fali, chodzenie w dzień w tenisówkach, dobre współzycie z kadra, wysługiwanie się kociarstwem (np. czyszczenie butów, przynoszenie kolacji itp.)

FALOMIERZ – Odpowiednio spreparowany centymetr krawiecki. Prawie dzieło sztuki. Każda cyfra oznacza jeden dzień i jest lekko nacięta, aby łatwiej ją było oderwać podczas meldowania. Wiele dni Wicki pieścą swoje Falomierze w ukryciu przed prawdziwymi Falowcami. Kolorują, ozdabiają... Na odwrotnej (czystej) stronie maluje się gołe dupy i pokrępiające wierszyki w rodzaju:

gdy rezerwa głośno chrapie
to kocciarstwo kible drapie

Falomierz nosi się w tzw. kondonierce. Instrukcja użycia Falomierza zawarta jest w haśle Meldować Falę. Ponadto Falomierzem można dowoli bić kocciarstwo w myśl wymalowanej na odwrocie zasady:

jeśli przyjdzie ci ochota
weź falomierz uderz kota.

W niektórych jednostkach oprócz falomierza właściwego stosuje się także dodatkowe.

– Kupon Toto–Lotka. W tym wypadku skreśla się nie od 150, a od 49, i oczywiście zupełnie inaczej wygląda meldowanie.

– Błaszane kalendarzyki przypinane do paska od zegarka. W tym wypadku liczy się od 31 i wydrapuje żyletką poszczególne, zdezaktualizowane liczby.

GRANAT – Nieregulaminowa komenda. Równoznaczna z „padnij”.

ILE CI ZOSTAŁO – Jedno z najczęściej stawianych wśród żołnierzy pytań. Czasami pytanie ma wydźwięk ironiczny, gdy Falowiec zwraca się z nim do Kota. Biada Kotu, który odważy się odpowiedzieć.

JAKA FALA – Jak wyżej.

JOLI MELDOWAĆ – Odsyłacz. Przykładowy zresztą. Każą ci wykonać jakąś pracę, a ty masz Falę i nie wypada. Mówisz wtedy: „Joli możesz to zameldować” lub w formie skrótowej: „Joli”. Ale jest to tylko odsyłacz przykładowy. „Jola” jest w nim wymienna. Rzeczownik ten może być zastąpiony każdym innym w zależności od osobistej inwencji odsyłającego. Im bardziej jest to rzeczownik zaskakujący, tym większe wrażenie. Do najczęściej stosowanych należą: krokodylowi, babci, klempie, Zuzi, łososiowi, koniowi, Krupskiej, piździe, to już wiesz komu, końskiej kenedykcie itd.

KALORYFER – Plutonowy (ze względu na dużą liczbę belek).

KAPRAL PODPORUCZNIK – Podpułkownik.

KOCÓWA – Nocny, anonimowy samosąd. Najczęściej sugerowany przez kadrę. Jeśli kadra nie daje sobie rady z żołnierzem, zaczyna stosować odpowiedzialność zbiorową wobec pododdziału. Po pewnym czasie: Sami widzicie, obywatele, że wszyscy macie przejebane przez tego jednego chuja. Dajcie mu sami wycisk do wiwatu, to może się zmieni, może zrozumie. Jest to tzw. wychowanie przez kolektyw.

KOMARUNEK – Drzemka w czasie niedozwolonym.

KOT – Każdy żołnierz nie będący Falowcem.

LASTRYKO – Plaster białego salcesonu.

LEWIZNA – Nielegalne przebywanie poza terenem jednostki.

MELDOWAĆ FAŁĘ – Falę melduje się po zakończeniu obiadu w myśl zasady:

obiad zjedzony
dzień zaliczony

Kończąc obiad Falowiec oddziera aktualny odcinek Fali od Falomierza i wrzucając do resztek na talerzu, krzyczy kolejną liczbę. Wywołuje to nieprawdopodobną zazdrość kocciarstwa i przeważnie jest zwalczane przez kadrę za pomocą sankcji. Jeśli swoją falę próbuje meldować jakiś Sierściuch, jest odpowiednio doceniany przez Falowca i nikogo to nie dziwi, nawet rzeczonoego Kota. W wypadku posiadania dodatkowego Falomierza w postaci kuponu Toto–Lotka, zamiast cyfry melduje się odpowiadającą jej dyscyplinę sportową. I tak, zamiast np. 49, krzyczy się „ŻUZEL!!”

MŁODY – Patrz Kot.

NUREK – Szef kompanii. Od nurkowania pod łózkami w poszukiwaniu kurzu.

OKRESOWA – Barszcz czerwony.

OLAĆ – Np. „Olać go”, czyli mieć go w dupie.

PASOWANIE – Po przysiędze na żołnierzy, przed odejściem na Falowców itd. Oczywiście pasami. I to bardzo mocno.

PIĘCIOBÓJ – Żołnierz służby pięcioletniej, ochotnik. Ostatnio służba ta została zlikwidowana. Z Pięciodziejami bowiem zbyt dużo kłopotów, a za mało pożytku.

PRZYCINKA – Inna nazwa Pasowania, bowiem Pasowanie polega na przycinaniu kity (ogona).

ROZJECHANY KAPITAN – Plutonowy; kapitan, któremu gwiazdki rozjechał walec drogowy.

SIERŚĆ – Patrz Kot.

SIERŚCIUCH – Jak wyżej, tyle, że najczęściej w towarzystwie przymiotników w rodzaju jebany, zapchlony, niemiły...

SKRĘCIĆ MURZYŃKA – Delikatniej: wydalić kał.

TROTYL – Ser żółty.

UCHO CZOMBEGO – Salceson czarny.

WICEK – Wicerezerwista. Według Falowców klasa nie istniejąca.

WYGONIC KRETA – patrz Skręcić Murzyńka.

WYŚCIG POKOJU – Kara ZOK– u (Zakaz Opuszczania Koszar). Polega ona na tym, że trzeba się kilka razy dziennie meldować u oficera dyżurnego w pełnym oporządzeniu. W bardzo różnych celach, to trochę jak loteria. Czasami po nic. Czasami oficer sprawdza, czy czegoś nie brakuje w plecaku. Czasem zalicza się odpowiednią liczbę rundek wokół jednostki (w pełnym obciążeniu: plecak, maska, hełm), a pomocnik oficera jedzie z tyłu na rowerku i pogania. Często ZOK– owiczów wysyła się do prac nadprogramowych, jak np. rozładowywanie wagonów. Właściwie wszystko zależy od tego, jaki oficer ma akurat służbę. Bo bywają różni oficerowie. Na przykład dowcipni. Miałem akurat służbę w kuchni, gdy na ZOK– owiczach wyżywał się taki dowcipniś. Stawiał im pytania i jeśli nie znali odpowiedzi, musieli w ciągu pięciu minut znaleźć kogoś, kto mógł im podpowiedzieć. Pytania były przeróżne.

– Jak miał na imię Zagłoba?

– Tytuły pięciu polskich miesięczników?

– Kto to naprawdę jest Joe Alex?

Siedziałem na krzeselku przed stołówką i udzielałem odpowiedzi spoconym chłopcom.

Bywają też oficerowie pieprznięci. Jeden taki ogłaszał alarm ZOK– u zaraz po capstrzyku. Zbierał wszystkich w Klubie Żołnierskim i przez godzinę czytał coś z Marksa. W ramach resocjalizacji zapewne.

ZIOM – Kolega z tych samych stron.

ZLEW – Żołnierz zawodowy.

ZLEWISKO – Jak wyżej. Najczęściej z przymiotnikami w rodzaju: jebane.

ZLEWOWSKI URLOP – Dziesięciodniowy urlop przysługujący żołnierzowi, który deklaruje chęć podpisania na Zlewa. Przeważnie po wykorzystaniu tego urlopu chłopcy wycofują się z poprzedniej deklaracji. Niemniej muszą odsłużyć ten urlop – czyli siedzieć dziesięć dni dłużej. Nie opłaca się.

IV

Pierwsza przepustka na miasto garnizonowe. Po dwóch miesiącach prawie absolutnej izolacji.

Jakież to krzepiące! Ta błoga świadomość, że jeszcze nie cały świat maszeruje. Istnieje coś takiego jak spacerowy krok.

Że dziewczyny są takie, jakie są, a nie takie, jak w opowieściach żołnierskich przy skrobaniu ziemniaków.

Że nie wszystkich jeszcze podstrzyżono.

Marian pisał do pisarza, który „ma chody”. Zarzucił mu, że ten nic nie robi w celu wyciągnięcia mnie z wojska. A powinien, od czego niby ma tę funkcję.

Pisarz odpisał: „Mogę obiecać, że poczynię starania na tyle, na ile to będzie możliwe. Muszę jednak dodać, że czynić to będę wbrew własnym przekonaniom, nie uważam bowiem, aby służba wojskowa, tak często lekceważona przez młodych, była czymś uciążliwym czy ubliżającym”.

To cudowne! – dla mnie akurat była jednym i drugim. Ale tego mu nie napisałem. Opisałem mu jeden dzień z życia przeciętnego żołnierza. Tylko tyle.

Odpisał, że;

– nie wiedział

– nie myślał

– nie wyobrażał sobie.

A od czego się – pytam – jest pisarzem? Chyba od tego, żeby wiedzieć, myśleć i wyobrażać sobie.

Szkolenie polityczne jest najważniejszym przedmiotem szkoleniowym w wojsku. To jedyne zajęcia, z których prawie nikomu nie udaje się zwolnić.

Program tych zajęć nie należy do najatrakcyjniejszych. Ale nie chodzi przecież o pogoń za atrakcją. Właściwie można wyróżnić trzy podstawowe zagadnienia, które przez całe dwa lata przeplatają się ze sobą w najprzeróżniejszych wariantach:

– Prą do wojny źli Niemcy z RFN.

– Miesza się w nieswoje sprawy zły Kościół.

– My i Rosjanie jesteśmy cacy (cały nasz wielki obóz z małymi wyjątkami Chin i Albanii).

Tematy te przeplatane są informacjami czy raczej komentarzem dotyczącym wydarzeń politycznych oraz nieustającym zapewnieniem, że kapitalizm chyli się ku upadkowi.

Po serii wykładów zaświtał mi w głowie pomysł groteski: Zresztą nie takiej znów groteskowej i oderwanej, jak to się z początku wydawać może.

Próbuję pisać:

„Kapitan rzeško przechadzał się między stolikami. Zacierał raz po raz rękę, jakby mu zimno było.

– Dobrze, obywatele – rozpoczął nagle. – Dziś pomówimy o konieczności przestrzegania tajemnicy wojskowej i państwowej oraz o potrzebie czujności.

Proszę tak właśnie zanotować temat.

Zapewne doskonale orientujecie się, dlaczego w zasadzie wszystko w wojsku otoczone jest ścisłą tajemnicą wojskową. Otóż, są jeszcze ludzie, którzy myślą tylko o tym, aby nacisnąć spust karabinu wymierzonego w naszą pierś. Chcą oni, że tak się wyrażę, zniszczyć nasz naród, obalić ustrój itede.

Nie będę nawet konkretyzował, o jakich to ludziach mówię, gdyż wszyscy doskonale wiemy, że chodzi o rząd i mieszkańców Republiki Federalnej Niemiec.

Wiecie dobrze, obywatele, że najskuteczniej można przeprowadzić atak mając wszelkie możliwe dane o sile zbrojnej przeciwnika. I tym właśnie tłumaczy się potrzeba zachowania tajemnicy wojskowej oraz stałej czujności wobec agentów wywiadu zachodnioniemieckiego. Dla nikogo na świecie, a szczególnie dla nas, nie jest tajemnicą, że Niemcy mają doskonale rozbudowany aparat szpiegowski w znacznej mierze oparty na dawnych siatkach wywiadowczych gestapo, abwehry czy SS. Agenci niemieccy, dzięki pomysłowości i finansom swoich amerykańskich chlebodawców, są nieprawdopodobnie trudni do wychwycenia. A to z kolei wymaga naszej podwójonej czujności.

Posłużę się przykładem dla lepszego zilustrowania tego wszystkiego, co tu wam powiedziałem. A nawet paroma przykładami.

My, w Polsce, doskonale wiemy, że każdy egzemplarz mercedesa, volkswagena czy opła ma fabrycznie wbudowany mały zestaw wywiadowczy, który składa się z mikrokamer i mikronadajników. Dobrze, obywatele, my o tym wiemy, ale przeciętny obywatel Niemiec Zachodnich nie ma o tym pojęcia. I na tym polega kłopot. Co roku przyjeżdża do naszego kraju bardzo wielu turystów zachodnioniemieckich takimi właśnie samochodami. Absurdem byłoby przypuszczać, że każdy z nich jest szpiegiem czy dywersantem. A przecież w każdym ich samochodzie znajduje się sprzęt szpiegowski. Sami teraz widzicie, jak trudno naszemu kontrwywiadowi wyluskać szpiega z tego morza prawie niewinnych ludzi. Inny przykład. Parę lat temu nieopodal naszych koszar mieszkał pewien emeryt. Przez około pół roku, wcześniej rano, wyprowadzał na spacer olbrzymiego wilczura. Emeryt był niezwykle sympatyczny i zawsze podczas swoich porannych spacerów znalazł chwilę czasu, aby zamienić parę słów z wartownikami na biurze przepustek. Po pewnym czasie żołnierze przyzwyczaili się do niego i jego spokojnego psa. Jednakże pewnego ranka pies przyszedł sam i przedostał się na teren jednostki. Biegał po budynkach koszarowych, po Parku Wozów Bojowych i łąsił się do żołnierzy. Nikt na niego nie zwracał szczególnej uwagi. Ale zainteresował się tym przypadkiem nasz ówczesny oficer kontrwywiadu. Coś mu w tym wszystkim, jak to się mówi, nie grało. Kazał żołnierzom złapać psa i przyprowadzić do siebie. Nie będę wchodził w szczegóły, których zresztą nie znam, tylko powiem, obywatele, co się w końcu okazało. Otóż pies ten jedno oko miał prawdziwe, a drugie sztuczne. I w tym sztucznym oku zamontowana była mikroskopijna kamera filmowa.

Widzicie, jak daleko posunięta jest pomysłowość i perfidia naszego wroga. Mam nadzieję, że nikt z was nie będzie, obywatele, wątpił w konieczność zachowania czujności”.

Ale czy potrzebna groteska?

Pewien porucznik opowiadał nam o Kościele. Bo Kościół jest zły i trzeba nam o tym zaraz opowiedzieć. Żebyśmy wiedzieli, pamiętali i strzegli się na przyszłość.

Jeden nasz kardynał (tu błąd: nie zanotowałem nazwiska, które padło) to ma dobra ziemskie w Turcji. Jakiś pałac. A więc po co tak wtrąca się w nasze polskie sprawy?

A każdy ksiądz to ma swoją babę, którą wali. Absolutnie każdy. To przecież normalne, każdy od czasu do czasu musi, nie? Tylko dlaczego tak się wypierają?

A poza tym Kościół jako taki jest już niegroźny. Stał się przeżytkiem, a wierni wymierają. Jak w rezerwacie. Wystarczy wejść do pierwszego lepszego kościoła. I co widzimy? Widzimy obywateli, tylko jakieś stare babcie, które boją się śmierci i dlatego tu przychodzą. Młodzież do kościoła nie chodzi wcale. Naprawdę. Młodzież jak gdzieś chodzi, to tylko do dyskoteki. I to jest objaw ze wszelkich miar pozytywny.

I w tym momencie nie wytrzymałem. Coś mnie kopnęło najwyraźniej. Wstałem i przepisowo poprosiłem o głos.

Obywatelu poruczniku, chciałbym obywatelowi porucznikowi podziękować. Naprawdę. Bo, okazuje się, jeszcze w cywilu, to ja miałem okazuje się, różne tam omamy wzrokowe. Jeszcze w Warszawie chodziłem często do takiego lokalu na Freta. I tam było kupę młodzieży. Mnie się wtedy wydawało, że to było Duszpasterstwo Akademickie prowadzone przez dominikanów. Teraz wiem, że to była po prostu dyskoteka.

Kiedy zorientował się w moich intencjach, obiecał, że zostaną ukarani. Ale jakoś mi się udało.

Jest informacja polityczna. Taki przegląd bieżących wydarzeń z komentarzem. A może raczej przegląd bieżących komentarzy. Gdzieś styczeń 1977. Prowadzący opowiada o „Arabach czy Murzynach”. W każdym razie o jakichś facetach, których biją. Nie pamiętam. W pewnym momencie o głos prosi Józiu, taki prosty chłopak z lubelskiej wsi.

– Obywatelu kapitanie, ja chciałem zapytać o jedną sprawę. Właściwie to chciałem sam dojść do tego, ale ani w gazetach, ani w Dzienniku Telewizyjnym nic na ten temat nie było. Więc może obywatel kapitan nam powie – co to jest Komitet Obrony Robotników i dlaczego w Dzienniku nic o tym nie ma?

Zmartwiałem. Może nie tak bardzo jak prowadzący zajęcia, ale jednak. Kapitan przełknął głośno ślinę i zapytał:

– No, dobrze. Ja się nie będę uchylał od tego trudnego pytania. Ale chciałbym, żebyś mi powiedział, skąd ty wiesz o istnieniu tej organizacji?

Józiu na to ze szczerym uśmiechem:

– Z Wolnej Europy, a co, nie wolno słuchać?

– Nie, nie, oczywiście, że wolno. Tego nikt nie może zabronić. Przecież wiesz, że w Polsce takie rzeczy masz zagwarantowane konstytucyjnie... Co to jest Komitet Obrony Robotników? Widzisz, odpowiedź na to pytanie nie jest taka prosta. W prasie i telewizji nie mówią o tym, ponieważ jest to marginalna grupka nie posiadająca żadnego znaczenia. Prasa i telewizja zajmują się poważnymi problemami, nie mogą sobie pozwolić na zajmowanie się głupotami. Co to jest KOR? Widzicie, jest to taka organizacja antypaństwowa, która wymyśla oszczercze i nieprawdziwe rzeczy i przekazuje je na Zachód. W skład tej organizacji wchodzi kilka dziadków, którzy nie odgrywają w naszym kraju żadnej roli. Większość z nich zawsze próbowała walczyć z władzą ludową i socjalizmem. To przeważnie byli członkowie takich faszystowskich organizacji jak NSZ. Zresztą w większości to nie są tak do końca Polacy, przeważnie Żydzi.

To mi się bardzo spodobało. Przez kilka dni nie opuszczała mnie wizja Żydów z Narodowych Sił Zbrojnych. To naprawdę wielki pomysł!

Pragnę zaznaczyć, że powyższa rozmowa nie miała żadnych skutków. Tylko następnego dnia okazało się, że żołnierzom zabroniono posiadania radioodbiorników tranzystorowych. Pobiegnę do Józia.

– Widzisz, coś zrobił, palancie...

– Nic – odpowiedział spokojnie – przecież ja i tak słuchałem Wolnej Europy na świetlicowym radiu.

Ale bywa też odwrotnie. Prowadzący zajęcia chce być śmieszny.

– Dziś mam mówić o Związku Radzieckim. Ale, prawdę mówiąc, to nie bardzo wiem, co mógłbym wam powiedzieć. O, tu mam spis wszystkich republik! – Leci palcem po tym spisie i po chwili z udanym zdumieniem:

– Polski tu jeszcze nie ma?!?

Kiedyś zauważyłem, że wśród moich kolegów krąży jakiś poszarpany zeszyt. Próbuje dowiedzieć się, co to takiego. Słyszę: pornografia. Na moje zdziwienie dookreślają: no, wiesz, gołe dupy.

Oczywiście od razu pożyczyłem sobie ten zeszyt.

Pełno zdjęć porozbieranych kobiet. Z „Panoramy”, „Razem”, „Ltd.”. A poza tym autentyczna twórczość ludowa. Utwory pisane przez nich i dla nich. Czytam wiersz.

WARTOWNIK

Stoi żołnierz na warcie
i myśli uparcie
co lepsze: czy dupa czy żarcie
Dobra jest dupa
dobre jest żarcie
lecz przejebane jest stać na warcie.

I rzeczywiście. Ten wiersz wyraził moje najintymniejsze uczucia związane ze służbą wojskową.

Ale reszta wierszy rozczarowuje. Prymitywna, wierszowana pornografia. „Życie seksualne”, „Bal Bernardynów”, „Uczucia nocy poślubnej”, „Kurewski pociąg” oraz poemat „O królownie Pizdolinie”.

Ale jest i proza. Próbuje czytać.

MIŁOŚĆ PO FRANCUSKU

„Rodzice moi pojechali do Włoch ale ja postanowiłam zostać. Obok mnie mieszkał 19 – letni chłopiec i miał na imię Jan. Zaprosiłam go pewnego razu do siebie. Gdy przyszedł do mojego pokoiku postawiłam kawę i ciastka. Rozmowę zaczęliśmy na dość obojętny temat lecz szybko doszliśmy do wniosku, że dalsza dyskusja nie miałaby sensu. Mimo woli dotknęłam kolanem jego kolana tak że Janek drgnął. Wzięłam go za rękę i czule gładziłam. Czulałam jak Janek drżał. Wreszcie wziął mnie za rękę i przeniósł na tapczan. Ostrożnie mnie na nim położył. Całowaliśmy się dość długo. Nagle poczułam jak Janek zaczął mnie rozbierać. Gdy zostałam tylko w biustonoszu i majteczkach ściągnęłam mu koszulę i slipki, i po raz pierwszy zobaczyłam męski członek. Wyglądał jak krążek kiełbasy ale po chwili był długi i naprężony i twardy jak kamień. Jan w międzyczasie rozebrał mnie całkowicie. Przytuliliśmy się do siebie, ale ja od razu nie chciałam stracić cnoty. Chciałam tylko doznać przyjemności. Jan zrozumiał to doskonale dlatego przyciskał mnie coraz mocniej do siebie i całowaliśmy się namiętnie. Czulałam drżenie jego członka. Wzięłam jego członek do ręki i zaczęłam nim się bawić zdejmowałam skórkę do góry i do dołu.

Jan pieścił mnie i rozchyłał moje ściśnięte kolana podciągał mnie do góry. Miałam ochotę wciągnąć go do siebie i włożyć go do pochwy. Musiałam jednak chęć wstrzymać. Jan wziął mnie na siebie i mocno przycisnął. Zaczął mnie całować po pośladkach i szparze. Ja zaś wzięłam jego członek do ust i językiem dotykałam główki na jego końcu. Podniecaliśmy się bardzo. Jan zaś musiał go powstrzymać aby mnie nie zadusić, ponieważ bardziej wpychał głowę w piździsko. Ja natomiast ścisnęłam nogami jego głowę, tak, że trudno było mu się

poruszyć. W końcu poczułam że jeszcze chwila a u Jana nastąpi wytrysk. Wyjęłam jego członek z ust i włożyłam go między piersi. Wkrótce poczułam ciepły płyn na mojej piersi i brzuchu. Zresztą to uczucie dotarło do mnie jak przez sen gdyż w tym samym czasie nastąpił wytrysk u mnie. Takie sny powtarzaliśmy przez 7 dni”.

A więc w ten sposób przeciętny żołnierz wyobraża sobie życie erotyczne. Bo przecież napisał to, czytał (ba – rozczytywał się, chłonał!) także żołnierz. Ale krzywdzące byłoby stwierdzenie, że w tych zeszytach znajduje się sama pornografia. Zaraz po opowiadaniu cytowanym wyżej znajduje się drugie.

Niestety, w tym zeszycie, który ja miałem, opowiadanie to było pozbawione tytułu. A dopiero zestawienie tych dwóch opowiadań daje pojęcie o życiu wewnętrznym żołnierza. To drugie opowiadanie jest jednak bardzo długie, a więc zacytuję tylko jeden z końcowych fragmentów.

„Były tu też dzieci z Domu Dziecka. Nie znały one potęgi śmierci. Jednocześnie wyobrażały sobie, że jest to coś najgorszego. Pewnego razu kilkoro dzieci widziało jak na cmentarz weszło małe dziecko. Z ciekawości chciały tam pójść. Poruszali się gromadką po alejach cmentarza wpatrywały się ciekawie w mogiły i zrywały z grobów kwiaty. Nagle Mariusz krzyknął.

– Nino zobacz jaka ładna pani.

Kilkoro dzieci stanęło obok. Niżej pod zdjęciem widniały kształtne litery, lecz żadne z nich nie umiało czytać. Nina z Mariuszem stała najbliżej pomnika i przyglądała się śmiejącej pani.

Nina patrzyła na włosy i duże oczy.

Nawet kiedyś zaśmiała się, bo Mariusz powiedział że te duże oczy to ozdoba kobiety, którą widziała na zdjęciu. Nina patrzyła na śmiejące się usta i wydawało się, że ta pani inaczej się śmieje niż przedtem. Coś pociągało ją i nie mogła ani na chwilę oderwać wzroku od fotografii. Nie widziała nawet jak wszystkie dzieci odeszły i poszły do innej mogiły. Obok Niny pozostał tylko Mariusz. Ten również wyobrażał sobie, że ta pani śmieje się tylko do niego, jest bardzo zadowolona, że ją tutaj odnalazł. Patrz Nina jak ta pani patrzy na mnie powiedział Mariusz. Przyjźnij się Nino, dobrze zobacz. Widzę, odpowiedziała Nina. Wiesz co Nina powiedział Mariusz jutro my tu przyjdziemy. Rozejrzeli się dookoła, nikogo też nie było. Byli szczęśliwi, niż kiedykolwiek, znaleźli panią, która była ich największym przyjacielem. Od tego czasu przesiadywały na cmentarzu przez długie godziny. Od trzech dni przychodził ksiądz, chodził i czytał książkę”

I tak dalej. Bardzo to wszystko wzruszające. Ta pani z nagrobkowej fotografii to, oczywiście, matka Niny i Mariusza. Natomiast ksiądz to wielka, młodzieńcza jej miłość. Żli rodzice tej pani nie zezwolili im na małżeństwo i stąd wszystkie nieszczęścia.

Obiektywnie rzecz biorąc opowiadanka te nie zasługują na głębszą uwagę. Ale to tylko pozór. Ponieważ dla moich kolegów były najprawdziwszym przekazem o świecie rzeczywistym. Były zgodne z ich mniemaniem o życiu. Zgoda, że było to mniemanie ubogie, ale jednak. Ich świat układa się w uproszczoną kombinację prymitywnego wyobrażenia seksu i dużej skłonności do taniego sentymentalizmu. Początkowo trudno mi było w ogóle uwierzyć w możliwość takiej kombinacji. Później przyzwyczailem się do tych, i większych, pozornych niekonsekwencji.

Z wielu pisemek przeznaczonych dla żołnierzy żadne, jak sędzę, nie jest zorientowane w potrzebach rynku.

Żadne z nich nie preferuje tego typu literatury. Można w nich spotkać co najwyżej opowiadanka i reportaże o wzorowych żołnierzach. Pożytek z tego tylko taki, że w jednostkach nie używa się papieru toaletowego i często każda gazeta jest na wagę złota.

V

Przez prawie cały okres służby wojskowej byłem przewodniczącym Sądu Koleżeńskiego. Instytucja Sądów Koleżeńskich to przedziwny ukłon w stronę tak modnej samorządności. Teoretycznie Sąd jest odbieralny i rozpatruje sprawy kierowane doń przez dowódcę kompanii. W większości sprawy te dotyczą samowolnych oddaleń oraz nadużywania alkoholu. Ale, żeby było ciekawiej, Sądy te nie mają prawa karania. Mogą tylko, w razie uznania winy, wystąpić z wnioskiem o ukaranie. Decyzja Sądu ogranicza się tylko do tego, którego z przełożonych poproszą o ukaranie winnego. Prawdę mówiąc, to i tak wiele, bowiem im wyższy przełożony, tym posiada większy zakres kar. Niby więc jest jakaś możliwość manewru.

W praktyce działalność Sądów Koleżeńskich bardzo przypomina działalność sądów PRL w sprawach politycznych. Przede wszystkim skład sądu wyznaczany jest przez dowódcę kompanii. Oczywiście robi się to przy zachowaniu pozorów demokratycznych wyborów, ale też nie zawsze. Przed każdą rozprawą (posiedzeniem) dowódca wzywa przewodniczącego Sądu i komunikuje mu, jakiego to spodziewa się orzeczenia. Zdziwiająco, ale przeważnie orzeczenia pokrywały się z sugestiami. Czasami, gdy przypadkiem zapadł inny wyrok, dowódca kompanii zarządził ponowne rozpatrzenie sprawy, na co Sąd przystawał bez zbędnych dyskusji. Nie muszę chyba dodawać, że były to tzw. działania pozaprawne. Zgodnie bowiem ze Statutem nikt nie ma prawa sugerować sądowi jego orzeczeń oraz orzeczenia te są prawomocne i niepodważalne. Ale kto by się tam stawiał dowódcy kompanii? Otóż to – ja zacząłem się stawiać. Bo w przeciwieństwie do moich poprzedników urzędowanie na stanowisku przewodniczącego zacząłem od przeczytania Statutu. I wziąłem to wszystko bardzo poważnie. Albo kierowała mną naiwność, albo też swoiste poczucie humoru. W każdym razie, po każdym posiedzeniu miałem duże kłopoty. Stałem się bardzo niewygodny dla dowództwa kompanii. Pod koniec służby dowódca kompanii bezprawnie pozbawił mnie funkcji.

Ale u podłoża decyzji dowódcy kompanii, oprócz ustawicznych moich sprzeciwów, leżała jeszcze inna sprawa. Otóż wyczytałem w Statucie, że przewodniczący może i powinien zajmować się także działalnością interwencyjną. I właśnie gdy to wyczytałem, nadarzyła się okazja. Szeregowiec S. Po trzech dniach aresztu zwykłego powrócił na kompanię. Nie był to powrót z tarczą ale raczej na. Chodził jakiś poskręcany, niemrawo skarżył się, że traktowano go w areszcie niezbyt delikatnie. Wziąłem go na bok i zacząłem namawiać, aby napisał skargę na wartowników do dowódcy pułku. Z początku bał się, ale zapewniłem go, że nic mu nie grozi.

W końcu zgodził się, ale pod warunkiem, że mu pomogę. Była to z jego strony niewątpliwie asekuracja. Ale nie tylko, chłopak był niemal wtórnym analfabetą. Zacząłem

spisywać jego opowieść o trzech dniach aresztu i dołączyłem potem do raportu do dowódcy pułku. Zatytułowałem to OŚWIADCZENIE, ale to był horror.

S. został doprowadzony do aresztu szesnastego września około godziny trzynastej. Półtorej godziny później na wartownię, w której znajdował się areszt, przybyła następna zmiana warty. Zapowiedziano aresztantom, że od tej chwili wszystkie czynności należy wykonywać w pełnym biegu. Ale to podobno normalne w każdym areszcie. Zresztą podobnie jest w całym wojsku podczas okresu unitarnego.

Właściwe przedstawienie rozpoczęło się dopiero o godzinie siedemnastej.

S. został ubrany w plecak (około dwudziestu paru kilogramów) i kazano mu w nim wykonywać tzw. pompki. Liczba pompek nie została określona. Wartownicy przyglądali się słabnącemu powoli chłopakowi. W końcu już S. nie mógł podnieść się z cementowej podłogi. Jeden z wartowników, przekonany, że ten symuluje, kilkakrotnie uniósł go za kołnierz oraz pas i rzucił o ziemię. Zorientowawszy się, że to na S. nie działa, dał mu spokój na jakiś czas. Akurat na tyle, by trochę odzyskał siły. Dodano mu drugi plecak, który należało trzymać w sztywno przed siebie wyciągniętych rękach. I z tymi dwoma plecakami nie określona porcja przysiadów. Potem odpoczynek. Ale odpoczynek w dość wymyślnej formie: kucanie na czubkach palców, Kolana razem, plecakiem nałożonym na plecy wolno opierać się o ścianę, ale drugi nadal w wyciągniętych sztywno rękach.

Następnie można było odłożyć jeden plecak. Z drugim marsz kuczany z trzymaniem się za pięty. Znow odpoczynek w opisanej formie. Przysiady z dwoma plecakami i pompki z jednym. W końcu S. ponownie bez sił pada na ziemię. Nie reaguje na polecenie powstania. Wartownik kilka razy wskakuje S- owi na klatkę piersiową. Po pół godzinie względnego spokoju S. ponownie „odpoczywa”. Potem biegi po korytarzu wartowni przerywane co chwila komendą „granat”. Ciężko pada na betonową posadzkę. Następnym punktem programu były zbiórki.

– Szeregowy S., w kiblu zbiórka!

– Szeregowy S., na korytarzu, w dwuszeregu zbiórka!

A że na zbiórki żołnierz musi wychodzić biegiem, niewiele się właściwie zmieniło.

W pewnym momencie wyszedł ze swego pokoju dowódca warty i kazał przerwać przedstawienie. Ale jego rozkaz nie był spowodowany tym, że takich zabaw nie powinno się urządzać, lecz po prostu tym, że przywieziono kolację. Po kolacji sam dowódca warty ubrał S- a w plecak i granaty, przysiady, biegi, podskoki, zbiórki. Trwało to tylko piętnaście minut, bowiem dowódcy się to znudziło i przekazał S- a innemu wartownikowi.

Siedemnastego S. nie mógł rano wstać. Bolały go wszystkie mięśnie. Miał tylko kilka granatów. Co prawda, mieli ochotę dalej go pompować, ale doszli do wniosku, że chłopak już naprawdę nie może, i dali mu spokój.

Następny skład warty okazał się dla S- a darem boskim. Dowódca warty był ziomkiem i chłopak miał dwadzieścia cztery godziny spokoju. To znaczy, i tak wszystkie czynności wykonywał biegiem, ale tym razem był traktowany na równi z innymi aresztantami. Był to rzeczywiście powód do szczęścia. Ale osiemnastego września powrócił poprzedni skład warty.

Zaraz po obiedzie jeden z wartowników zawołał S- a na salę wartowniczą. I od razu zdenerwowała go ślamazarność ruchów aresztanta. Aby więc „wyrobić mu szybkość”, rąbnął go trzy razy żelaznym taborettem przez plecy. Za trzecim razem S. wyleciał z sali i upadł na korytarzu, co poprawiło humor wartownika.

– No, S.! – zawołał. – W co powinien być wyposażony spadochroniarz?

Ale S. nie wiedział. Wezwano więc aresztanta o dłuższym stażu.

– Spadochroniarz powinien być wyposażony w dwa spadochrony: spadochron właściwy oraz spadochron dodatkowy.

– No, widzicie, S.? – uśmiechnął się wartownik wskazując stojące pod ścianą plecaki. Nastąpiły ćwiczenia ludzko podobne do tych, z którymi zapoznał się pierwszego dnia. Gdy ćwiczący go wartownik musiał iść na posterunek, komendy wydawał dowódca warty.

Kiedy w końcu pozwolono mu iść do celi osłabiony obijał się o ściany. Na ten widok dowódca śmiejąc się przywołał wszystkich wartowników znajdujących się na wartowni.

– Zobaczcie, obywatele, młody żołnierz, przysłany do aresztu, zamiast karnie poddać się procesowi resocjalizacji, upija się jak świnia.

Aby wytrzeźwiał, kazali mu się czołgać. Po wszystkich pomieszczeniach wartowni. Nawet ubikacji, gdzie z powodu zepsutej instalacji było po kostki różnych nieczystości. Właśnie w tej ubikacji był taki moment, że S. zatrzymał się na krótki odpoczynek. Dostał wtedy kopniaka w podbrzusze. Z początku zatkało go, ale potem czołgał się ze zdwojoną energią. Czołgał się tak, jak mu kazano – z szybkością światła.

Spisałem to wszystko i pobiegłem do Jasia, który mimo kapraleskich dystynkcji robił na mnie wrażenie inteligentnego i wrażliwego chłopaka.

– Normalka – powiedział. – Tak jest we wszystkich aresztach. Znajdują sobie ofiarę i wyzywają się. Nie wiedziałeś?

Nie, nie wiedziałem. A nawet więcej – trudno mi było w to uwierzyć. Zacząłem wypytywać innych.

Potwierdzili. Zaczął mi się rysować zupełnie niesamowity, makabryczny obraz aresztu. Napisałem raport do dowódcy pułku, w którym zażądałem skierowania sprawy do prokuratury wojskowej. Nadmieniałem, że opowiadanie szeregowego S– a „przypomina mi ludzko wspomnienia z Alei Szucha”. Ale obowiązywała mnie droga służbowa, więc zaniósłem to do dowódcy kompanii. Przeczytał i popatrzył na mnie ze zdziwieniem, pomieszany z lekkim podziwem.

– No, no. Aleja Szucha, nie przebierasz w słowach. Mógłbyś zostać oficerem politycznym.

Nie odpowiedziałem. Po chwili dowódca odchylił się na krześle i zapytał:

– To ciebie pobili?

– No, nie

– Więc, o co chodzi?

Próbowałem wytłumaczyć, że zostały drastycznie przekroczone pewne przepisy. Dowódca jednak stwierdził, że to nie szkodzi, bo S– owi i tak należał się „ciężki wpierdol”. Mój argument, że został jednak ukarany trzema dniami aresztu, a nie „ciężkim wpierdolem”, nie znalazł poparcia w jego oczach. W ogóle nie potrafił zrozumieć, dlaczego się tą sprawą przejąłem. W końcu obiecał mi to załatwić. Ale, jak się należało domyślać, sprawa została zatuszowana. Przede wszystkim raport mój nie trafił do dowódcy pułku. Mój dowódca poszedł po prostu z nim na kompanię wartowniczą i zapoznał z treścią dowódcę tej kompanii. Oczywiście, wartownicy, jak jeden, wyparli się wszystkiego. A ten, który nad S– em najbardziej się znęcał, dostał trzy dni aresztu z zawieszeniem na trzy miesiące, za „przeprowadzenie z aresztantem musztry specjalnej w budynku aresztu”. Bo, zgodnie z regulaminem, trzeba przed. Był to skandal, lecz wydawało mi się, że nic już w tej sprawie nie mogę zrobić.

Wkrótce zresztą S. dopiął swego i został przedterminowo zwolniony z wojska. Kiedy, już w cywilnym ubraniu, przyszedł się ze mną pożegnać, namawiałem go, żeby się nie poddawał. Radziłem, by spróbował pisać skargę do Głównego Zarządu Politycznego WP. Dałem mu nawet adres.

Prawdopodobnie S. skorzystał z mojej rady, bowiem po dwóch miesiącach w jednostce wybuchła bomba wodorowa. Zjechała się cała ekipa śledcza WSW. Przesłuchiowano aresztantów z całego półrocza. Być może to tylko przypadek, ale gdy zjawiła się ekipa śledcza, wezwał mnie dowódca kompanii.

– Chciałeś jechać na urlop. No, na ślub tego twojego kumpla. Jutro możesz jechać.

Czterech wartowników, w tym dowódca warty, stanęło przed sądem wojskowym.
Najwyższy wyrok, jaki zapadł w tej sprawie: półtora roku.
Niedługo potem przestałem być przewodniczącym Sądu Koleżeńskiego.

VI

Wszystkich puszczano na przepustki w piątek po południu. Mnie nie. Dowódca kompanii powiedział: pojedziesz jutro rano.

Niby jakaś pilna robota. Jednak zbyt długo byłem pisarzem kompanijnym, bym się dał na to nabrać. Dość szybko zorientowałem się, że nie jest to nic pilnego. Równie dobrze można to było zrobić i za tydzień. Zacząłem zastanawiać się, dlaczego mam jechać dzień później niż wszyscy. Jakiś powód musiał istnieć, ale nic mądrego nie przychodziło mi do głowy.

W sobotę po południu stałem na peronie czekając na pociąg do Warszawy. W pewnym momencie podszedł do mnie sierżant WSW.

– Wy nazywacie się Pawlak? Tak, to pozwólcie. Muszę sprawdzić, co macie w tej paczusce, a nie chciałbym tego robić tak tu, przy ludziach. Wiecie, to nie wypada. Pójdziemy na dworcowy komisariat milicji. Bo wiecie – uśmiechnął się pojednawczo – możecie przecież wywozić tajne materiały.

Przestraszyłem się. Było to niemal jawne podejrzenie o szpiegostwo. Poszliśmy.

W komisariacie zażądał osobnego pomieszczenia. Zaczął przeglądać zawartość paczki. Były tam dwie książki, które odwoziłem do domu, i szkice wierszy. Książki interesowały go tylko przez chwilę. Sprawdził, gdzie wydane, i odłożył na bok. Bardziej przejął się rękopisami.

– Słuchaj, ty śpieszysz się na pociąg, więc będę musiał te wierszyki zatrzymać. Jest tego dosyć dużo, a jeszcze tak niewyraźnie piszesz. Jak wrócisz z urlopu, to ci zwrócimy.

– W żadnym wypadku, obywatelu sierżancie. To są jedyne egzemplarze. Nie mam żadnej pewności, czy to gdzieś u was się nie zawieruszy. A dla mnie byłaby to zbyt duża strata.

– Daję ci słowo, że nic się im nie stanie.

– Niemniej nie zgadzam się. Będę w tej sprawie zmuszony złożyć skargę.

Zrozumiałem, że podróż do domu mam już z głowy. Trudno, ale tak łatwo ze mną nie pójdzie. Ale on miał widać trochę inne instrukcje. Spojrzał na mnie wrogo i przeszedł do drugiego pomieszczenia. Przez szybę w drzwiach widziałem, że gdzieś dzwoni. Po chwili wrócił i oddał mi rękopisy. Jeszcze tylko małe obmacanie i kazał biec na pociąg, który akurat zatrzymał się na peronie drugim.

Wezwano mnie do kancelarii tajnej w sztabie.

– To wy? – zapytał zaspany sierżant. – zaplątała się tu przesyłka do was. Kolega z Krakowa przesyła książkę.

I dali mi. Osobno kopertę, osobno książkę, osobno list. „Szkice z psychologii religii” Fromma, od Adama.

Zaskoczyła mnie forma. Co prawda, dotychczas wszystkie przesyłki też przychodziły rozdarte, ale zachowywano jakieś pozory. Zawsze odbierałem je w wewnętrznej poczcie jednostki. O ile się orientuję, byłem pierwszym żołnierzem pułku, który otrzymał korespondencję za pośrednictwem kancelarii tajnej. To zaczynało być niepokojące. A poza tym była to jakaś nieostrożność, która dawała mi wreszcie pretekst do jakiegoś działania. Nie

namyślając się pobiegłem do zastępcy dowódcy pułku do spraw politycznych. Zameldowałem o całym wydarzeniu i wyraziłem rozgoryczenie faktem, iż została złamana praworządność. To podziało na politycznego jak czerwona płachta na byka.

– Ależ słuchaj, to na pewno jakaś pomyłka. Nieporozumienie. Ja to osobiście sprawdzę. Jutro cię w tej sprawie wezwę, ale to na pewno jakieś nieporozumienie.

Czekałem cały miesiąc i nic. Przez ten czas rozważyłem sobie wszystko od początku. Jeżeli rzeczywiście kontrolowano mi korespondencję, to niewątpliwie była to sprawa kontrwywiadu. To nie ulegało wątpliwości.

Ostatecznie ten pion sam z siebie jest najbardziej policyjny. Postanowiłem zastosować trochę hazardową rozgrywkę. To się chyba nazywa *va banque*. Zgłosiłem się do oficera kontrwywiadu. Zacząłem mu wmawiać, że jest on tutaj także po to, aby stać na straży poszanowania praw konstytucyjnych, paktów praw, paktów helsińskich i wielu innych, jakie mi tylko do głowy przyszły. We wszystkich tych dekretach zapewnione jest prawo do tajemnicy korespondencji. Moje prawo zostało w tej jednostce naruszone w sposób oczywisty i nie podlegający dyskusji przez kancelarię tajną albo też kogoś, „kto za tym stoi”. I oto zgłaszam się do niego jako do osoby kompetentnej, pełen wiary w jego pomoc.

Oficer kontrwywiadu śledził mój natchniony monolog z lekkim niedowierzaniem. Co chwila rzucał mi baczne spojrzenia. Ale to była rola mojego życia. Nie wyglądałem wcale na takiego, który by z kogoś robił balona. A poza tym miałem za sobą wielki atut: twarz o wyrazie pełnego ufnej naiwności imbecyla. I to przeważało. Obiecał, że zbada sprawę.

– Tak, dobrze, żeście się do mnie z tą sprawą zwrócili, kolego. Co prawda, nie przypuszczam, żeby to była jakaś represja w stosunku do ciebie, ale rozumiem, że możesz tak myśleć. Sam bym tak myślał. Szczególnie, że ten idiota polityczny tak to załatwił. Ja to zbadał. I gdzieś za tydzień wpadnę tutaj, żeby tobie powiedzieć co i jak. No, cześć, kolego.

W ten sposób zostałem kolegą oficera kontrwywiadu. Ale to nic. Oczywiście, nie zjawił się po upływie tygodnia. W ogóle starał się mnie unikać. Czekałem półtora miesiąca, a potem przeniesiono mnie do innej jednostki.

Kontrolowano mi korespondencję, rewidowano na dworcu, nie puszczano przez pewien czas na urlopy i przepustki, przepytывano niektórych kolegów, o czym z nimi rozmawiałem.

Niby nic takiego – można się przyzwyczaić. Ale w końcu sytuacja stała się nie do zniesienia. Napisałem skargę do Głównego Zarządu Politycznego WP. Opisałem te wszystkie dziwne przypadki mnie dotyczące i ostro zaprotestowałem, że niby kontrwywiad mi przeszkadza.

Reakcja była wyjątkowo szybka. Już po tygodniu siedziałem w wygodnym fotelu naprzeciw trzech umundurowanych panów: przedstawiciela władz wyższych, przedstawiciela dowództwa jednostki oraz oficera kontrwywiadu. Przedstawiciel władz wyższych zapytał, czy zgodzę się rozmawiać w tym gronie, czy też mam specjalne życzenie rozmawiać z nim w cztery oczy. Odpowiedziałem, że nie mam się czego wstydić i w razie czego gotów jestem rozmawiać „w obecności całego stanu osobowego pułku”. I rozpoczęła się rozmowa, której celem było udowodnienie mi, że nie mam racji. Że jestem po prostu głupi.

Oficer kontrwywiadu wmawiał mi nawet, że powinienem odczuwać coś w rodzaju wdzięczności dla odpowiednich czynników wojskowych, że poświęcają mi tyle uwagi i czasu. Wdzięczności nie wyraziłem. Być może było to niedopatrzenie, więc tą drogą nadrabiam.

Moja sytuacja na skutek skargi poprawiła się o tyle, że „wyrzucono” mnie na upragniony urlop. Po powrocie jednak wszystko wróciło do normy.

Ale żeby zupełnie nie przewróciło mi się w głowie, na następną skargę nie otrzymałem odpowiedzi. A szkoda, bowiem oprócz powtórzenia wszystkich zarzutów z pierwszej skargi, zażądałem natychmiastowego zwolnienia mnie ze służby wojskowej z powodu szykanowania mnie za poglądy polityczne. Wiem tylko, że był ktoś z władz wyższych, ale tym razem nie

wyraził ochoty porozmawiania ze mną. Szkoda, miałem mu tyle do powiedzenia. W każdym razie do dziś nie tracę nadziei i cierpliwie czekam na odpowiedź Głównego Zarządu Politycznego Wojska Polskiego.

VII

Odbywa się wielka dyskusja nad nowymi regulaminami. Coś mają zmieniać. Trend na nowoczesność.

PRÓBÓJĘ PISAĆ:

„Pułkownik R. Na inspekcji w garnizonie jakimś nieważnym. Ponury, stary budynek koszar z ponemieckiego odzysku. Buntują się nie remontowane od lat instalacje sanitarne. R. Z obrzydzeniem przygląda się zapchanym, cuchnącym klozetom. Raptem napada go myśl zbawienna. Przyszpila ją długopisem do notatnika.

– W raporcie do Ministerstwa zaproponować istotną poprawkę do Regulaminów. (Słowa zdecydowanie skapują na kartkę). Żołnierz zobowiązany jest do powstrzymania swoich potrzeb fizjologicznych w wypadku awarii instalacji sanitarnych aż do odwołania.

Zresztą nie musi być od razu poprawka do Regulaminów. Na początek wystarczy drobne Zarządzonko. Okólniczek maleńki. Ot, taka sobie Dyrektywka”.

Izba chorych to coś pośredniego między lazaretem polowym a aresztem. Każdy chory wie, że jego podstawowym obowiązkiem jest nie chorować oraz sprzątać tzw. rejony. Rejony sprząta się bez przerwy, bowiem bardziej chodzi o to, by sprzątano, niż o to, by było sprzątnięte. Sanitariuszy ani szefa izby nie interesuje, czy chory jest zdolny do jakiegokolwiek pracy. Od pracy zwalnia tylko fala lub kaprałski stopień.

Ponadto sanitariusze żywią się kosztem chorych. I słusznie: leżący zużywa mniej energii i nie musi tyle jeść. Porcje więc dostawaliśmy zmniejszone. A takich rarytasów jak kompot, czy coś w tym rodzaju, wcale.

Najciekawsza jest jednak rola lekarza. Przez sześć dni pobytu w izbie, nie widziałem, aby dotknął pacjenta. Na przykład po to, aby osłuchać czy zajrzeć do gardła. Obchód przypominał z lekka karty z Dzielnego Wojaka Szwejka. Sanitariusz ogłaszał zbiórkę chorych. Czekaliśmy cierpliwie na korytarzu, aż wywołają każdego z nas osobno do gabinetu lekarskiego. Lekarz pytał o samopoczucie i temperaturę. Pytał – nic więcej.

Gdy tylko udawało mu się u kogoś zbić temperaturę, wyrzucał z izby. Chodziło się potem z nie zaleconą chorobą.

Prawdziwe życie erotyczne żołnierzy ludowego Wojska Polskiego jest niezwykle ubogie. Co najwyżej niektórzy próbują nadrabiać na przepustkach i urlopach. Zresztą najczęściej jest to tylko nadrabianie miną. W każdym razie w dobrym tonie jest po powrocie z przepustki rzucić tak od niechcienia: Chłopaki, ale mnie czubek boli.

Co ciekawsze, nie zauważyłem nawet prób homoseksualizmu. A przecież warunki były bardzo sprzyjające.

Tylko wieczorem, po capstrzyku kwitł onanizm. Mieliśmy stare, skrzypiące łóżka. Trudno było zasnąć przy skrzypieniu dwudziestu kilku łóżek. Ale do wszystkiego się w końcu można przyzwyczaić. Po powrocie do domu nawet mi trochę brakowało tych dźwięków.

Przez ostatni okres służby zastanawiałem się tylko nad jednym: jak opowiedzieć. Dotąd nie było tego problemu. Dotychczasowe pobyty w domu były tak krótkie, że ograniczałem się do pozdrawiania przyjaciół. Nie było czasu na rozmowy. Teraz będzie.

Mógłbym opowiedzieć o honorowym krwiodawstwie.

Ktoś tam próbował namówić mnie do oddania krwi. Odmówiłem. Powiedziałem, że nie mogę. Przechodziłem kiedyś żółtaczkę i moja krew może okazać się szkodliwa. A na tym tle jestem szczególnie drażliwy.

Śmiał się. Przecież nie muszą się zorientować – przekonywał – a dwa dni urlopu to jest coś.

Bo to jest zwykły handel krwią. Za dwieście mililitrów kupowało się dzień urlopu. Za czterysta – dwa dni.

VIII

Mógłbym także opowiedzieć o pewnej kantynie na poligonie. O tym jednym kiosku na przestrzeni wielu kilometrów. O kawiarence na piętnaście stolików.

Pracowaliśmy na tym poligonie kilka tygodni. Dwustu żołnierzy i sześciu opiekunów, ekonomów z kadry.

Był to cholernie zimny grudzień siedemdziesiątego szóstego roku. Otwarta przestrzeń pełna ustawicznych wiatrów od morza. Praca przez cały czas na wolnym, odkrytym terenie. Mieszkanie w namiotach i ciągle kłopoty z węglem do piecyków. Kadra mieszkała w znakomicie ogrzewanym hotelu garnizonowym. Całe dni, oprócz krótkich wypadów w celu sprawdzenia, czy zamiast pracować nie grzejemy się przy ogniu, spędzała w kantynie.

My do kantyny nie mieliśmy wstępu. Dwustu żołnierzy wracając z pracy ustawiało się cierpliwą kolejką przed drewnianym podestem pod oknem kantyny. Kupowaliśmy papierosy, znaczki, zapalki...

Ale już dość. Może mnie ponieść, i zamierzona chłodna relacja zmieni się w płacziwą dziewczynkę z zapalkami...

Żołnierze zawodowi poza jednostką:

Całują panie w rękę.

Rozmawiają czasem o literaturze i filmie.

Znają takie słowa, jak „proszę” oraz „dziękuję”.

Ale to tylko pozór. Udawanie kulturalnego człowieka, na które wielu ludzi daje się nabrać. Nie ma kulturalnych oficerów. Oczywiście, jeżeli przyjmiemy, że kultura osobista to coś więcej niż natrętnie ślinienie kobiecych rąk. Aby naprawdę ocenić tych ludzi, trzeba ich widzieć wtedy, gdy są w swoim żywiole. Gdy są w jednostce.

Bowiem przekroczyć bramę jednostki to nie to samo, co przekroczyć bramę zakładu pracy. Wchodząc na teren jednostki przekraczasz granicę kultur. Z w miarę demokratycznej Polski wchodzisz w kastową społeczność koszar. Cofasz się o kilka wieków w historii ludzkości. Tutaj żołnierz zawodowy jest niemal wszechwładny. Taki facet może z tobą zrobić prawie wszystko.

Postawić cię w kolejce do wewnętrznego sklepu mięsnego, co wiąże się z wstaniem o godzinę, dwie wcześniej.

Wybierając się z żoną na całonocną zabawę do kasyna, zostawić cię do pilnowania dzieci.

Wysyłając na przepustkę, zobowiązać cię do poświęcenia krótkiego pobytu w domu na bieganie po sklepach. Po linkę do sprzęgła, klej „Skorolep”, książki dla studiującej córki...

Kazać wysprzątać sklep, w którym pracuje jego żona.

Posłać do sklepu po chleb i masło, bo żonie nie chce się rano wstać, a trzeba śniadanie dzieciom do szkoły.

Polecić malowanie mieszkania.

Poprzestawianie mebli.

Załatwić przeprowadzkę, bo kolegę przenoszą do innej jednostki.

Wytrześć dywany.

Nazwać cię przy wszystkich chujem i kazać przytaknąć – tak jest, obywatelu sierzancie.

Przeczołgać bez powodu, ot tak, gdy brak mu innych rozrywek.

STOP!!!

Przecież żadnej z tych rzeczy nie może on, nie ma prawa wymagać od żołnierza. Fakt. Ale wymaga. Żołnierz to parias i Murzyn. Polski niewolnik. Zwierzę.

Nie wiem, dlaczego zlikwidowano istniejącą jeszcze przed wojną funkcję ordynansa. Prawdopodobnie chodziło o wprowadzenie demokratycznych zasad współżycia w wojsku. Prawdopodobnie niektórym reformatorom wydawało się, że funkcja ta obraża godność żołnierza. I bardzo dobrze, że tak się stało. Dziś pan oficer nie ma ordynansa. Dziś ordynansem jest każdy żołnierz. Dowódca kompanii wystawia głowę z kancelarii na korytarz i woła pierwszego lepszego żołnierza: wyczyśćcie mi buty! Oczywiście. Wyczyścimy!

Ale sprawa ta ma jeszcze drugi aspekt. Traktowani jak bydło żołnierze często sami ponoszą część, i to niebagatelną, winy za taką sytuację. Ta część winy polega na przyzwoleniu. Nie stać ich nawet na delikatne zmanifestowanie swojej godności. Zepchnięcie do roli sługi często, widać, wytwarza w człowieku pewne zadowolenie z takiej sytuacji. Jest więc i taka możliwość, że kadra zawodowa po prostu nie zdaje sobie sprawy z tego, że żołnierzy można traktować inaczej.

Pozwolono nam oglądać jakiś film. Nie zdarzało się to zbyt często, więc frajda duża. Było to na poligonie zimowym. Telewizor stał w namiocie – świetlicy. Oczywiście w najwyższej cenie były miejsca przy kopczącej kozie. Zostały zajęte na długo przed rozpoczęciem filmu. Ale pech chciał, że akurat tego dnia zepsuł się telewizor w świetlicy hoteliku garnizonowego (do którego, notabene, nie mieliśmy wstępu). Trzech oficerów przyszło więc oglądać telewizję do nas. Weszli tuż przed rozpoczęciem filmu.

– No, obywatelu, już widzę trzy wolne miejsca przy piecyku – zażądał jeden z nich.

Oczywiście nikt się nawet nie ruszył. Uparcie gapiliśmy się w rozkoszną Edytkę, udając, że jego słowa skierowane były do kogoś zupełnie innego. Podobnie zareagowaliśmy na, tym razem dużo głośniejsze, ponowne polecenie. Ten brak subordynacji wyraźnie zdenerwował oficerów.

– Powstań. Baczość. Przed namiotem w dwuszeregu, zbiórka!

Tego można się było spodziewać. Ale był to już najbardziej formalny rozkaz i nie można było dłużej ciągnąć zabawy w głuchy telefon.

Stojąc pod namiotami pozwalaliśmy sobie na niewybredne epitety pod adresem naszych przełożonych. Oczywiście, nie na tyle głośno, by mogli nas usłyszeć. Chodziło raczej o wyładowanie własnego gniewu. W pewnym momencie wpadł mi do głowy pomysł – zaproponowałem zrezygnowanie z filmu.

– Pewnie, niech się trepy pierdolone same udławiają.

– Dobrze mówi.

Poparli mnie koledzy. Nie jestem pewien, czy był to najlepszy pomysł. Ale zawsze była to jakaś manifestacja, jakaś zapowiedź istnienia pewnej granicy, do której można nami pomiatać. Jednak z mojego pomysłu nic nie wyszło. Gdy po chwili pozwolono nam wejść do świetlicy, wszyscy skwapliwie skorzystali.

Leżąc na pryczy słyszałem częste wybuchy śmiechu. Podobno była to niezła komedia. Mojego aktu kontestacji nikt nie zauważył, a film straciłem.

Chcesz u niego załatwić przepustkę? To trzeba tak:

– Obywatelu sierzancie, jakaś przepustka by się zdała...

A on na to: To zapierdalaj żołnierz do „Zochy” po dwa wina i zobaczymy, co da się zrobić.

I tachaś zlewowi te wina, za własną kupione forszę. I wcale nie wiesz, czy pojedziesz. Bo wina niczego jeszcze nie gwarantują. Są tylko czymś, co pozwala mu w ogóle zastanowić się nad tym, czy zasługujesz na przepustkę.

Jedną z największych zdobyczy socjalnych dwudziestolecia międzywojennego w naszym kraju było zapewnienie ośmiogodzinnego dnia pracy. I dziś jest on nam prawnie gwarantowany.

Część służby upłynęła mi w jednostce budowlanej. Na niektórych placówkach praca trwała dwanaście godzin na dobę. Oczywiście, po odliczeniu przerw na posiłki – chodzi mi o czas czystej pracy. W niedzielę trwa trochę krócej. Przeważnie do obiadu. Taki system, szczególnie w lecie, był czymś zupełnie normalnym.

Szlag trafia nasze zdobycze socjalne w tym najlepszym z ustrojów? A może miał rację Wojtek, gdy mówił, że służba wojskowa to czasowe pozbawienie praw obywatelskich?

Jakiś mędrzec w sztabie wpadł z nudów na pomysł: oszczędniej gospodarować materiałami pędnymi. A tymczasem trzeba było wykonać dosyć poważne roboty ziemne.

Więc: wojska rakietowe. Szczyt techniki: ziemia – powietrze, czyli stara, dobra łopata w naszych dłoniach. A obok stoją przedsię- i zasiębiejne koparki, stoją spychacze...

Murzyni? Chyba Wojtek miał rację.

IX

To nie Daniel Olbrychski ani grupa Smokie kojarzy nam się z pojęciem gwiazdora. Dla nas gwiazdą numer jeden był Wojciech Zyms i jego koledzy. Bowiem Dziennik Telewizyjny, a potem Wieczór z Dziennikiem to audycje obowiązkowe. Nawet regulamin to ściśle określa. Za uchylanie się od oglądania tej audycji grożą surowe kary.

Organizacja młodzieżowa teoretycznie odgrywa niezwykle ważną rolę w życiu wewnętrznym jednostki. Praktycznie zaś jest w każdym punkcie ściśle podporządkowana sekcji politycznej i nie bardzo ją stać na jakąkolwiek samodzielność. Niemniej wszystkie pozory są zachowane. I tak, na przykład, wybór na stanowisko przewodniczącego zarządu pułkowego jest – jednoznaczny ze zwolnieniem z niemal wszystkich tzw. obowiązków żołnierskich. Przewodniczący zarządu pułkowego to prawie etat.

Ale moje kontakty z organizacją nigdy nie odbywały się na tak wysokich szczeblach. Nie mniej były dość swoiste.

Ale wszystko, jak zawsze, zaczęło się bardzo niewinnie. Było zebranie sprawozdawczo – wyborcze na szczeblu kompanii. Ustępujący zarząd chwalił się tym, co zrobił, a potem mieliśmy wybrać nowy zarząd. Mieliśmy – bowiem było to zebranie otwarte, na którym musieli być wszyscy żołnierze pododdziału. Jeden z kaprali, który jeszcze parę tygodni temu lubił patrzeć, jak się czołgam, zaproponował moją kandydaturę na stanowisko przewodniczącego.

– I tak jest pisarzem – uzasadniał. – To nie chodzi na zajęcia. Ma czas.

Wszystkim się ten pomysł bardzo spodobał.

– Bardzo dziękuję za okazane mi zaufanie – powiedziałem wstając – ale nie mogę przyjąć tej funkcji.

– Co to znaczy nie możesz – zdenerwował się mój kapral.

– Ponieważ nie należę do organizacji.

Wydawało mi się to proste. Ale nie doceniałem moich kolegów. Dla nich nie było spraw niemożliwych.

– To nie szkodzi – zapewnił mnie autentycznie jeden z nich.

– Jak nie należysz to się możesz zapisać.

– Ale ja nie chcę.

– Dlaczego?

– Ponieważ nie odpowiada mi program tej organizacji.

I potem pytano mnie przez kilka dni, co to znaczy. Bo niby dlaczego miałby mi nie odpowiadać. Zresztą, co za program, ostatecznie nikt z nich go i tak nie czytał – po co? Właściwie – przekonywali mnie – to żadna różnica, czy się należy, czy nie. Jedna legitymacja więcej czy mniej...

Ale ja się uparłem.

Po roku, już w innej jednostce, miałem podobną propozycję. Tyle, że tym razem bardziej konkretną i pochodzącą od przełożonego. Było to podczas rozmowy z oficerem opiekującym się z ramienia partii (polskiej, robotniczej i zjednoczonej) organizacją kompanii.

– A nie chciałbyś być przewodniczącym? Zapiszemy cię, wybierzemy...

– No, nie wiadomo.

– A wiesz, jak to jest. A potem dostaniesz własną kancelarię i będziesz miał święty spokój.

Wykręciłem się. Ale otrzymałem polecenie zostania czymś w rodzaju nieoficjalnego sekretarza przewodniczącego kompanijnej organizacji. Nie pomogły zapewnienia, że organizacja jest mi obca ideologicznie. Rozkaz to rozkaz. Prowadziłem dokumentację, pisałem sprawozdania, co zwalniało mnie z pracy. Gdyby ktoś na serio zechciał poczytać, co tam wypisywałem, miałby niezłą zabawę.

W końcu ponownie zostałem wezwany na rozmowę do tegoż oficera. Na rozmowę tak poważną, że ta poprzednia zbladła przy niej zupełnie.

– Nie zapisałbyś się do partii?

– Nie.

– Słuchaj, zastanów się dobrze. O ile wiem, coś tam sobie piszesz. A chyba zdajesz sobie sprawę, że przynależność do partii może ci wiele ułatwić.

– No, tak. Ale ja nie mam ochoty brać na siebie odpowiedzialności, nawet pośredniej, za to wszystko, co ta organizacja w kraju wyrabia. A poza tym nie odpowiada mi jej program.

– Ależ to żaden problem! Kto by się tam przejmował programem? Musisz zrozumieć, na jakim świecie żyjesz.

– No, właśnie, wydaje mi się, że rozumiem. Jak mógłbym spojrzeć w oczy moim przyjaciółom, gdybym to zrobił?

– A czy oni muszą o tym tak od razu wiedzieć?

I tak rozmawialiśmy godzinami przez parę dni. Nie mogliśmy się zupełnie porozumieć. Niby obaj mówiliśmy tym samym językiem (był to język polski), ale nijak nie rozumieliśmy się nawzajem. W końcu obaj przestaliśmy traktować tę rozmowę w kategoriach sporu ideologicznego. Przerzucaliśmy się słowami dla zwykłego zabicia czasu.

Stało na tym, że zostałem, niemal siłą, wciągnięty na listę uczestników kursu wiedzy o partii. Chciałem sobie świadectwo kursu powiesić na słomiance obok świadectwa ukończenia kursu przedmałżeńskiego przy kościele św. Mikołaja w Gdańsku. Ale nie dostałem świadectwa. Zresztą nie żałuję, że uczestniczyłem w tym kursie. Byłem tylko na jednym wykładzie, ale dowiedziałem się od prelegenta że „fakt, iż kontrolujemy pracę robotnika, nie jest wynikiem naszego braku zaufania do jego pracy, a wręcz odwrotnie – dowodem naszego do niej zaufania”. Sam bym tego nie wymyślił.

Jednym z najbardziej rozbudowanych pionów w wojsku jest pion polityczny. Jego głównym zadaniem jest podnoszenie moralno – politycznego poziomu żołnierza oraz przekonanie go, że Pana Boga nie ma. Po prostu. Widocznie jakiś wariat go sobie wymyślił.

Polityczni robią to w sposób prymitywny, przeważnie na zajęciach politycznych, niemniej są konsekwentni. Boga nie ma – kto przeciw?

Zabawne jest to, że zdarzają się im wpadki. W dodatku, wpadki, które nie mają prawa zdarzyć się poważnym pracownikom propagandy.

Żołnierze odchodzący do rezerwy zostali obdarowani przez sekcję polityczną nagrodami za ofiarną – jak się tutaj mówi – służbę. Wśród nagród rzeczowych także książki. Jedna z nich właśnie wzbudziła moją zgrozę. To, że wydana przez PAX, to jeszcze pół biedy. Ale jej treść!!!

Było to jakieś irlandzkie powieścił historyczne. Bez przerwy ktoś się tam z kimś bił. Przeważnie dobrzy katolicy ze złymi protestantami. Po stronie katolickiej co rusz pojawiali się różni święci faceci i czynili cuda. Pełna groza.

Widocznie znów kupiono książki na sztuki. Bez pomyślenia. Bywa.

W przeddzień wyborów do Rad Narodowych wezwał mnie dowódca kompanii.

– Słuchaj, jutro są wybory...

– Wiem.

– Ja wiem, że ty wiesz – zniecierpliwiał się. – Chciałbym się ciebie właśnie zapytać: jak to będzie?

Zrobiło mi się ciepło na sercu, że oto stałem się dla mojego dowódcy wyrocznią w sprawach politycznych. Postanowiłem nie zawieść pokładanego we mnie zaufania.

– No, cóż – odrzekłem zgodnie z najszczerzym przekonaniem. – Sądzę, że Front Jedności Narodu wygra.

Ale okazało się, że niezupełnie o to chodziło. Chciał się dowiedzieć, czy ja, w związku z wyborami, nie szykuję żadnego „numeru”. Nie szykowałem.

Wybory w wojsku mają swoistą poetykę, związaną ściśle z atmosferą miejsca, w którym się odbywają. Przede wszystkim każda jednostka stanowi odrębny okręg wyborczy. W przeddzień wyborów w każdej kompanii odbyły się spotkania z dowódcami pododdziałów. U nas dowódca powiedział: „MAM POMYSŁ”. I był to naprawdę fajny pomysł. Bo niby dlaczego, rzeczywiście, mamy głosować dopiero po śniadaniu, jak tam będą wszyscy, będzie tłok i stracone pół dnia, kiedy możemy wstać półtorej godziny wcześniej i głosować przed śniadaniem, kiedy będzie zupełnie pusto. No pewnie, wstać półtorej godziny wcześniej czy później to żadna sprawa. Przynajmniej dla niego. Potem okazało się, że na ten pomysł wpadli, zupełnie przypadkowo, wszyscy dowódcy. I w dalszym ciągu przypadkowo, komisja składająca się z wyższych oficerów sztabu mogła już o ósmej iść do domu. Ale to oczywiście czysty przypadek. Ponadto nie było w tej sprawie żadnego rozkazu, ale zgodnie z delikatnymi sugestiami dowódców wszyscy żołnierze poszli do urn w mundurach wyjściowych. Na cały pułk tylko ja z Ryśkiem w polowych i, mimo nieprzychylnych spojrzeń, nikt się właściwie nie przyczepił.

Około siódmej rano oficer dyżurny jednostki wezwał do siebie wszystkich podoficerów dyżurnych.

– Słuchajcie podoficerowie – powiedział – do godziny ósmej sto procent każdej kompanii ma być na głosowaniu. Zrozumiano?

Zrozumiano. Co mieliśmy nie zrozumieć – był to przecież wyraźny rozkaz. I tylko ja jeden zastanawiałem się, jak on z tego wybrnie. Przecież wydanie takiego rozkazu stawia go w kolizji z kodeksem prawnym. Ale nikt tego nie zauważył. Zresztą, kto by się tam przejmował drobnostkami, najważniejsze, że FJN wygrał wybory.

X

Prace porządkowe w wojsku wykonuje tylko młodzież. Tak mówi niepisane prawo, wedle którego nie liczy się nic, nawet stopnie wojskowe, oprócz przynależności do określonych poborów, oprócz fali. Żołnierze mający ponad rok służby nie zajmują się pracą, co najwyżej przypilnowaniem, aby młodzież solidnie pracowała. Jest to w naszym wojsku chyba najstarsze, a w każdym razie najrygorystyczniej przestrzegane prawo.

Prawo to funkcjonuje w myśl zasady: kiedyś mnie goniono, teraz ja gonię. Takie jest pojęcie sprawiedliwości.

W pierwszej chwili to zaskakujące, ale nigdy nie dostałem tak w kość od przełożonych, jak od starego wojska. Ale to zupełnie normalne.

Zawsze jest do wykonania jakaś praca zlecona przez przełożonych. Wiadomo, że starzy nawet palcem nie ruszą. Tak więc młodzi, przy nieustannym popędzaniu, wykonują podwójną robotę. Za siebie i za „panów falowców”. Na ogół nawet się nie skarżą. Bo to w ogólnym rozrachunku się nie opłaca. Lepiej cierpliwie czekać. Niedługo samemu będzie się starym, a wtedy pogoni się innych młodych.

Najciekawszy jest stosunek kadry zawodowej do tego problemu. Bo staje się to problem dużej wagi. Sekcja polityczna próbuje z tymi zwyczajami walczyć, jednak robi to bez specjalnego przekonania. I nic dziwnego. Na dobrą sprawę, trzeba by bowiem zacząć od uzdrowienia całej instytucji. A na to oni nie pójdą, bo stąd prosta droga do zanegowania armii w jej obecnym kształcie. A połowiczne próby rozwiązania problemu przez politycznych doprowadzają do groteskowych rezultatów. Zresztą zachowują się oni często jak słonie w składzie porcelany.

Kiedyś wezwano nas, pięciu kotów przed przysięgą, do sekcji politycznej. Przesłuchiwano każdego osobno. Ja byłem ostatni. Poprosili (nie kazali!), abym usiadł, dali papierosa i w ogóle bardzo się chcieli ze mną skumplować. Po paru tygodniach, w ciągu których słyszałem tylko krzyk, było to dla mnie coś niesamowitego. Zacząłem nabierać zaufania, rozluźniłem się. Już chciałem wylać przed nimi całe moje biedne serce, gdy wtem przysła mi z pomocą opatrność. A raczej pewien nawyk. Bowiem, gdy znajduję się w nowym otoczeniu i minie początkowe spięcie, pierwszym objawem rozluźnienia jest u mnie ciekawskie rozglądanie się. I wtedy także – omiotłem wzrokiem całe pomieszczenie. Pod biurkiem zauważyłem zwykły mikrofon do magnetofonu. Kabel biegł do biurka. To rozwiało całą moją ufność. Inna sprawa, że zaraz po wyjściu zacząłem zastanawiać się, czy sobie czasem tego wszystkiego nie wymyśliłem. Przecież to aż nieprawdopodobne, by próbowali robić to w tak prymitywny sposób. Ale tego samego dnia jeden z kolegów zapytał, czy ja także zauważyłem ten mikrofon pod biurkiem. A więc to nie był żaden zwid.

Trochę podobna historia wydarzyła się na egzaminach z zajęć politycznych, zaraz po przysiędze. Egzaminował nas zastępca dowódcy jednostki do spraw politycznych. W pewnym momencie zapytał nas, jakie książki przeczytaliśmy tu, w wojsku. Był zaszokowany i

zrozpaczony, że nikt z nas nic nie przeczytał. Przez chwilę zastanawiałem się, czy to jego pytanie podyktowane było naiwnością, czy też wyjątkowym sadyzmem. Bowiem fakt, że nie czytaliśmy, tylko po części dawał się wytłumaczyć naszym niskim poziomem intelektualnym. Wyobrażam sobie, co by się działo, gdyby któryś ze starych żołnierzy lub dowódców drużyn zobaczył mnie z książką. Dostałbym taką szkołę, że do końca życia bym zapamiętał.

Zupełnie inaczej na problem stosunków między żołnierzami różnych poborów zapatruje się kadra kompanii. Ci ludzie są dalej od sprawozdań miesięcznych, a bliżej rzeczywistości. I dlatego bardzo często kadra kompanii popiera niepisane prawa. Są jej na rękę. Dają pewność, że przynajmniej część ludzi będzie coś robić i praca będzie wykonana.

Próby walki z tymi zwyczajami na szczeblu kompanii kończą się przeważnie sromotną klęską kadry. Prowadzą do sytuacji, kiedy nikt nie pracuje. Starzy, bo nie wypada ze względu na falę, a młodzi, bo „co, mamy być gorsi...”

Jeszcze będąc kotem zastanawiałem się nad tym, jak będę się zachowywał, gdy będę już starym żołnierzem, gdy będę miał falę. Była mi bardzo potrzebna świadomość, że będę wtedy inny. Wiedziałem też, że będzie to najtrudniejsza próba zachowania własnej godności. Nie spodziewałem się, że będzie to próba tak ciężka.

Wojsko bowiem wytwarza pewne ciśnienie psychiczne. Niezwykle trudno jest nie „przypierdalać” młodych, nie wysługiwać się nimi. O wiele trudniej niż wydaje się to tobie, moralisto, siedzący w wygodnym fotelu. Jest bowiem w nich (a przedtem była i w nas) jakaś trudna do zniesienia służalczość. Czasami brała ochota przegonić chłopaka właśnie za tę mentalność służącego, aby mu to wybić z głowy. Kilka razy próbowałem coś zrobić dla tych zagonionych i wystraszonych ludzi. Brałem takiego na bok i tłumaczyłem, że nie powinien dawać się poniżać. Ale – odpowiadał – przecież to wojsko. Tak, dla nich to wszystko było normalne. Zrozumiałem, że tak nie można. Ale nie mogłem podawać siebie za przykład faceta, który nie dał się zgnoić w początkowym okresie. Ja nigdy nie byłem służalczy i często się stawiałem, ale miałem za sobą atuty, których oni nie mieli. Byłem pisarzem kompanii jeszcze przed przysięgą i narazić mi się, mimo że przecież byłem młodym żołnierzem, nie było najmądrzej. Ja mogłem sobie na wiele pozwolić. Zresztą moje próby podburzania młodych odnosiły jeszcze jeden nieprzewidziany skutek. W swej nieufności nie ufali moim intencjom. Podejrzewali, że moje postępowanie jest tylko wstępem do jakiejś perfidnej gry, której mają być przedmiotem, a której jeszcze nie mogli pojąć. Inna sprawa, że przez moje apostołskie zapędy i wyskoki współzycie z kolegami z jednego poboru stawało się mocno utrudnione. Zaczęto mnie traktować z wrogą pobłażliwością. Jak stukniętego.

Odsunąłem się więc od wszystkiego. Przyjąłem postawę biernego obserwatora.

Opowiadano mi:

Miał tylko osiemdziesiąt dni do cywila. Wyobrażam sobie – tylko osiemdziesiąt. I na służbie zamknął się w magazynku broni i strzelił sobie w łeb. Widziałem go. Cała czaszka rozwalona. Krew i mózg. Na samochód wrzucili go jak worek kartofli.

Podobno dziewczyna go rzuciła i dlatego. I – popatrz, co za wariat – tylko osiemdziesiąt dni do cywila! A taki idiotyzm.

Tutaj wszystko liczy się dniami do cywila. Reszta nie jest ważna. Samobójstwo młodego żołnierza wzbudziłoby tylko politowanie, ale nie zdziwienie. Lecz ten?

W stosunkach międzyludzkich w wojsku istnieje jednak, jak sądzę problem daleko ważniejszy niż konflikt młodzi – starsi. Mam na myśli podoficerów służby zasadniczej, czyli kaprali, dowódców drużyn. W pewnym sensie są to tacy sami żołnierze jak wszyscy inni. Też z poboru na dwa lata. I raczej wbrew własnym chęciom. A jednak są tak bardzo różni.

Ich wojskowa edukacja przebiega nieco inaczej. Pierwsze pół roku służby spędzają w szkołach podoficerskich, gdzie uczą się dowodzenia na szczeblu drużyny. Uczą ich także

wielu innych rzeczy. Często zastanawiałem się, czego i jak. Nigdy nie dowiedziałem się. Widziałem tego rezultaty, a te były zaskakujące.

Kapral wie, że w hierarchii wojskowej jest czymś gorszym od żołnierza zawodowego. Ale z drugiej strony jest święcie przekonany, że jest czymś daleko lepszym od żołnierza służby zasadniczej.

Znałem dość blisko wielu kaprali. Byli to często bardzo inteligentni i kulturalni ludzie. Nigdy nie potrafiłem zrozumieć, jak dali sobie wmówić tę nieprawdopodobną lepszość. Prawie żaden z nich nie spoufalął się ze wszystkimi żołnierzami. Często dziwili się, dlaczego mnie tak traktują jak równego sobie. Zresztą przepisy chroniły ich przed zbytnim kumpłowaniem się z nami, szarymi żołnierzami. Spali w osobnych salach zwanych podoficerkami, w stołówce jadali przy wydzielonych stolikach. Mieli daleko więcej praw niż przeciętny żołnierz. Już chociażby to, że na ZOK biegali bez plecaków i hełmów. Nigdy nie byli wyznaczani do prac porządkowych. Nawet podoficerki sprzątały przez innych, gorszych żołnierzy.

Ich pogarda dla żołnierza była konieczna z wychowawczego punktu widzenia. Tylko bowiem człowiek, który nami gardził, mógł nas w tak niehumaniczny sposób ganiać po poligonie.

Jeden z tych inteligentniejszych opowiadał mi następującą historię:

– Wiesz, nie potrafię tego zrozumieć. Byłem w domu na urlopie. Chciałem zrobić rodzicom przyjemność. Opowiedziałem im, jak się ze mną liczą, jakie znaczenie mam tutaj. Opowiedziałem, jak postępujemy z młodymi. Że czyszczą mi buty, że bez szemrania słuchają, jak im każę raptem pompować za listy albo co. I matka w czasie obiadu wyszła do kuchni, a ojciec zbeształ mnie jak szczeniaka. Że niby faszysta. Jak tak można?

Tak, jak można? Przecież oni robią to w celu wychowania dobrych i karnych żołnierzy. Zdyscyplinowanych żołnierzy.

Dobry żołnierz nie klnie. Szczególnie, gdy jest młodym żołnierzem. Więc w twarz.

Dobry żołnierz nie choruje. Każda choroba ma w sobie coś z symulacji. Więc jeśli któremuś zbierze się na kaszel, to aplikuje mu się przysiady aż do skutku. To znaczy, aż przestanie kasłać.

I tak dalej. Bo trzeba nam zdrowych i kulturalnych żołnierzy.

A to, że czasem zaścielą nam łóżko, wyprasują mundur, wyczyszczą broń, dadzą paczki z domu, wyczyszczą buty, przyniosą obiad ze stołówki, śpiewają i tańczą, aby nas rozerwać... To co? Oni nawet zadowoleni, że mogą coś zrobić dla swojego kaprała.

XI

Ostatnie miesiące wojska...

Ania przestrzegała mnie przed tym. Przypominała więzienne doświadczenia swoich przyjaciół. I rzeczywiście. Ostatni okres przymusowego skoszarowania jest najcięższy psychicznie. Im mniej czasu dzieli nas od wyjścia, tym trudniej wytrzymać. I jeszcze to denerwujące, ciągle liczenie dni.

Wzrasta nerwowość. Coraz częściej się pije. Z początku jeszcze w pełnej konspiracji, potem już coraz częściej przestaje się zważać na własne bezpieczeństwo. Nie chce się myśleć i czytać. Nie mówiąc już o robieniu jakichkolwiek notatek. Potrafiłem w ostatnim tygodniu przeleżeć w łóżku około dwudziestu godzin na dobę. I nikt nam nawet nie zwracał uwagi na niestosowność zachowania.

Wiarygodność wyjścia oddalała się prawem jakiegoś paradoksu.

Przeciętny żołnierz dwa razy w życiu ma okazję spożycia obiadu w towarzystwie dowódcy jednostki. Po raz pierwszy w dniu przysięgi, po raz drugi w dniu odejścia do rezerwy.

I nie są to takie zwykłe obiady. To jakby starochrześcijańska AGAPA – uczta miłości i pojednania. Całe misterium.

Ten pierwszy obiad jest po to, by żołnierz zapomniał o okresie unitarnym. Aby zapomniał o tych kilku tygodniach, kiedy traktowano go jak zwierzę wymagające bezwzględnej tresury.

Ten drugi jest po to, aby żołnierz zapomniał, że było dwadzieścia i parę miesięcy. Miesiące, gdy był kimś z niższej kasty:

pariasem
murzynem
żydem
metekiem.

Najczęściej pamięć knebluje się kotлетem schabowym.

Żołnierze powoli kończyli obiad. Rezerwista dokładnie, z namaszczeniem składał niezbędnik. Wstał, wrzucił do cynowej miski po zupie blachę i głośno krzyknął:

Koniec syfu,
Koniec fali.
Już nie będą w chuja grali
ZEROOOO...

Uśmiechnął się wyrozumiale widząc pełne zazdrości spojrzenia kociarstwa
Tak właśnie wyglądał koniec.

XII

Adam, gdy sam wychodził po jakimś kilkutygodniowym przeszkoleniu, przestrzegał mnie przed tym momentem. Pisał o tym, jak długie oczekiwanie na upragnione wyjście fałszuje perspektywę. Świat, do którego ma się wyjść, przestaje być w nas światem rzeczywistym. Powstaje gdzieś w głębi marzeń w opozycji do tego, który tak długo był naszym udziałem.

A przecież to, co nas wita, to nie Eldorado. To nie Utopia. Zakres wolności się zwiększa, ale nie jest za duży. Zwiększa się nasza możliwość poruszania się, ale też tylko w obrębie trzydziestoletnich granic, z których często trudniej jest się wyrwać niż na przepustkę z jednostki. Już nie trzaskamy obcasami, ręka bezwiednie nie wędruje do daszka czapki. Fakt, ale w dalszym ciągu potulnie wysłuchujemy kretyńskich rozkazów byle sierżanta.

Z początku dajemy się nabrać na pełnię wolności. Potem na nowo uczymy się sztuki życia w tym kraju. Jak dziecko uczące się chodzić, uczymy się widzieć.

Na razie stawiam pierwsze kroki.

Kwiecień – sierpień 1978